

MARCHAND

MAGAZYN SZTUKA I MIASTO

BIAŁYSTOK 1(6)/2021



Nie czuję się artystą. Adam Ślefarski

Historia jednej grafiki. Grzegorz Radzewicz

Po co nam rok Branickiego? Andrzej Lechowski

Nowa normalność. Maciej Białous

Szczęście to

SZTUKA

uśmiechu



CZAR DENT

www.czar-dent.pl

15-843 Białystok, ul. Świętokrzyska 5 lok. U2
tel.: +48 85 661 01 61



KULTURA I TRWANIE!

Sztuka dodaje kolorytu i smaku naszemu życiu. Jest jak przyprawa, często niezauważalna i niezidentyfikowana, a to ona właśnie nadaje charakteru potrawie i odróżnia ją od innych. Na przestrzeni dziejów powstały pomniki emocji, wrażliwości pokoleń, społeczeństw i narodów napisane przez malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, pisarzy i wielu innych artystów. Są to kroniki gustów, przyzwyczajęń oraz osiągnięć cywilizacji. Dziś korzystamy z tego dziedzictwa ale często nie uświadamiamy sobie siły, która podpowiada nam, żeby iść do muzeum, galerii. Gdy trafiamy do dzielnicy artystów, (bывают takie w innych miastach) czujemy, że jesteśmy blisko czegoś niezwykle go. Czasem uczestniczymy, „dotykamy” aktu tworzenia i nie musimy nawet tego rozumieć czy analizować. Wystarczy bliskość, obcowanie, i to, że czujemy się po prostu dobrze. Podświadomie doceniamy akt tworzenia i dzieło, które w tym akcie powstaje. Efekt tych wysiłków jest ulotny, nieuchwytny, dla każdego ma inny wymiar i trwa tylko chwilę. Żyjemy teraz nieścisłością i jak wszystko w naturze przemijamy, znikamy, a razem z nami często znika to co tworzymy. Sztuka i jej wytwory pozwalają odrywać się nam od przytłaczającej codzienności i czuć inny wymiar rzeczywistości. Nie każdy i nie zawsze jest spragniony refleksji i innego głębszego spojrzenia na siebie i otaczający nas świat, ale gdy jesteśmy pozbawieni prowokującej roli kultury, doceniamy jej znaczenie.

W niniejszym numerze możecie Państwo przeczytać opowieść Adama Ślęfarskiego o swoim życiu i związkach ze sztuką. Rusza-

my w malarską wędrówkę po naszym mieście i okolicy tęskniąc za dawnym, obecnym tylko w pamięci klimatem, emocjami i krajobrazem.

Tematem numeru jest Rok Branickiego – człowieka, mecenasa i twórcy perły Białegostoku – przedstawiamy go w trzech odsłonach. Bez lukru, przenikliwą i obiektywnie bezwzględną analizę człowieka-magnata i polityka przedstawia Andrzej Lechowski w artykule „Po co nam rok Branickiego”. Joanna Tomalska-Więcek pisze o hetmanie jako mecenasie sztuki, który sprawił, że Białystok, chociaż tylko w wymiarze pałacowym mógł otrzeć się o nowoczesne trendy europejskie, goszcząc sławnych artystów tworzących piękny i luksusowy Wersal Północy. Godny podziwu ówczesnych. Nostalgiczną i pełną zachwytu rozmowę z przeszłością wędrując ścieżkami parkowymi i płacowymi korytarzami odbywa Kamila Mistarz.

Epidemia koronawirusa zmieniła nasze życie pod każdym względem, miała też ogromny wpływ na kulturę. „Jak może wyglądać „nowa normalność” lokalnej kultury? Jak sprawić, żeby była ona dla mieszkańców jak najbardziej przyjazna i wartościowa?” Dogłębną, sięgającą istoty problemu analizę przeprowadza socjolog Maciej Białous. Wskazuje jednocześnie kierunki, którymi należy podążać w przyszłości, aby nowa rzeczywistość – po pandemii – dała możliwości rozwoju kulturze.

Miłej i satysfakcjonującej lektury.

Janusz Żabiuk



Wydawca:



Współwydawca:



Redaktor naczelny:

Janusz Żabiuk

Zespół redakcyjny:

**Krzysztof Koniczek,
Joanna Więcek-Tomalska,
Diana Nachiło,
Kamila Mistarz,
Anna Kopec-Tyszkiewicz,
Karolina Dadura,
Andrzej Lechowski,
Artur Chaciej,
Grzegorz Radzewicz,
Marcin Rębacz,
Michał Kość.**

Okładka:

**Adam Ślęfarski,
Demony 5, Zamknąć za sobą
drzwi, akryl, 100 x 80**

Opracowanie graficzne,

skład, druk: **APOGEA
Mariola Łotysz**

Białystok 2021

Redakcja: **Marchand,**

ul. J. Kilińskiego 12/3;

15-089 Białystok

Kontakt:

marchand@placnzs.bialystok.pl

Zadanie dofinansowane
ze środków z budżetu
Miasta Białegostoku



w numerze:

4



O życiu i twórczości
z **Adamem Ślębarskim**

rozmawia Janusz Żabiuk

10



Kobieta w Galerii Marchand
okiem **Krzystofa Koniczka**

fotoreportaż z wernisażu wystawy „Kobiety”

12



Daria Alicja Ostrowska

prezentacja twórczości

14



Krzysztof Chyży

opisuje jak ukształtował go Białystok

16



SPORTRETOWANI

o poruszającej historii **Krzysztofa Dąbrowskiego** opowiada **dr Tomasz Wiśniewski**

18



Historia pewnej **GRAFIKI**

Grzegorz Radzewicz zdradza tajniki grafiki artystycznej

20



Po co nam rok **BRANICKIEGO?**

odpowiedzi szuka **Andrzej Lechowski**

23



PODLASKI WERSAL

Joanna Tomalska-Więcek o tym, komu do życia potrzebna jest kultura

26

**Sztuka, której
piękno nie przemija**

Pałac Branickich według **Kamili Mistarz**



29

O CERKWII w Supraślu

filozoficznie - **Oleg Łatyszonek**



34

Nowa normalność

o białostockiej kulturze w czasach pandemii
pisze **Maciej Białous**



38

Energia i pasja

Hanka Grodzka w relacji **Diany Nachiło**



41

O gustach się nie dyskutuje

cudowna przygoda ze sztuką **Artura Chocieja**



44

Fundacja Akademia MALESZE

o idei miejsca stworzonego przez artystki
i dla artystów pisze **Anna Kopeć-Tyszkiewicz**



48

Kazimierz Jurgielaniec

we wspomnieniach **Krzysztofa Koniczka**



ADAM ŚLEFARSKI

*Kilińskiego nocą,
akryl*

NIE CZUJĘ SIĘ ARTYSTĄ

Wolę być dobrym rzemieślnikiem, niż być jakimś artystą

Z Adamem
Ślefarskim
rozmawiał
Janusz
Żabiuk

Pamiętasz początki swojej przygody z malowaniem?

Byłem najmłodszym synem w rodzinie, musiało się mną zajmować starsze rodzeństwo. Najprostszą formą opieki było rzucenie mi kredki z poleceniem „Rysuj”. Było rysowanie i rysowanie dla zabawy. W szkole podstawowej miałem nauczyciela plastyki Jana Dzuna, który coś we mnie zauważył. Poświęcał mi więcej czasu niż innym uczniom. Zobaczył, że coś potrafię. Jako pierwszy polecił żebym zdawał do Liceum Plastycznego w Supraślu. I tak ciach – zaskoczyło. Byłem przekonany, że chcę tylko do Supraśla i koniec. Poszedłem na egzaminy, chętnych było wielu. Po kilku dniach wywieszono listę osób, które się dostały. Byłem wśród nich. Tak się zaczęło. W liceum dobrze sobie radziłem, szczególnie z przedmiotami ścisłymi. Z trzech utworzonych wtedy klas, do końca nauki dotrwała tylko jedna. Zawsze byłem sprawny manualnie. Jeszcze w liceum rozpocząłem kurs meblarski i dwa lata po skończeniu szkoły, ukończyłem też ten kurs. Pierwszą moją pracą była pracownia konserwacji zabytków. Zaczęło się zbieranie doświadczenia. Były różnorodne

zajęcia: konserwacyjne malarstwo, rzeźba. Spodobało mi się.

Mam wrażenie, że stawiałeś się malarzem ewolucyjnie, dojrzewałeś. Aż stałeś się artystą-profesjonalistą.

Profesjonalnym malarzem tak – jestem. Ale nie czuję się artystą. Zawsze uważałem, że wolę być dobrym rzemieślnikiem, niż być jakimś artystą.

Czym jest dla Ciebie malarstwo? Profesją, pasją, przygodą?

Profesją, ale też pasją, chwilą wypoczynku. Jak spędzę 3-4 dni w pracowni, wychodząc tylko po to żeby kupić wodę i coś do jedzenia, to czuję się tak jakbym był dwa tygodnie na wczasach. Wracam do pracy wypoczęty, bez jakichkolwiek problemów. Owszem zmagania na początku były: czy chcę być realistą, abstrakcjonistą czy innym malarzem? Ale to bzdura. Ważne jest to, aby robić to, co się lubi.

Jak definiujesz siebie jako malarza? Tematem Twoich obrazów od dawna jest natura, nasz region, a szczególnie Białystok. Jesteś portrecistą?

Człowiek to najpiękniejsze, co stworzył



*Katedra zimą,
akwarela, 40 x 30*

Bóg. Nie można go pominąć. Nawet w swojej brzydocie jest piękny. Najbardziej lubię malować piękne panie. Czasem szukam też pięknych, męskich twarzy. Relacje z otoczeniem, przeżywanie to zapis chwili, którą człowiek zapamiętuje. Emocja, którą się w tamtym momencie przeżywało przekłada się na pracę. Na pewno tak jest. Wiem, że po różnych przeżyciach paleta barw u malarza się zmieniają. U mnie tak jest. Do tej pory nie mogę wyjść z ciemnych barw. A wpadłem w nie już siedem lat temu. Walczę z tym.

Stosujesz różne techniki malarskie: olej, akryl, akwarela, pastel, ołówek. W czym się czujesz najlepiej i z czego czerpiesz największą satysfakcję?

Satysfakcja jest wtedy, gdy klient kupi obraz. Maluję dla ludzi, nie dla siebie. To bzdura, że ktoś maluje dla siebie. Nieprawda. Każdy artysta, każdy malarz dąży do tego, by ktoś jego pracę zobaczył, zaakceptował i kupił. Ja nigdy nie przywiązywałem wagi do tego co już namalowałem. Mnie najbardziej satysfakcjonuje proces twórczy. Jak już namaluję obraz, to powinienem go sprzedać. Taka jest prawda.

Przez wiele lat głównym Twoim nurtem, może inspiracją, było otoczenie, natura, ludzie. Od pewnego czasu zauważalny jest w Twoich obrazach rys ponurości, katastrofizmu, dominują ciemne barwy. Taki klimat ma zapewne jakąś przyczynę...

Może to się zaczęło od utraty bliskich osób? Spojrzałem inaczej na życie i rzeczywistość. Zaczęły do mnie docierać pewne zjawiska, które nam towarzyszą do dzisiaj i coraz

bardziej się nasilają. Zanieczyszczenie środowiska, manipulacja społeczeństwem, różnice w standardzie życia, bieda i temu podobne. Do mojego realizmu wkraść się, trochę niechęć, symbolizm.



Trochę się tego trzymasz. Nie jesteś optymistą, bo ten pesymizm, czarnowidztwo i strach przed przyszłością trwa.

Bo mam dzieci i wnuki. Trwa trudny okres pandemii i nie wiemy w jakim kierunku to się rozwinie. Jeśli nie wirus to znajdzie się coś innego. Rządzący chyba nie do końca z tym sobie radzą.

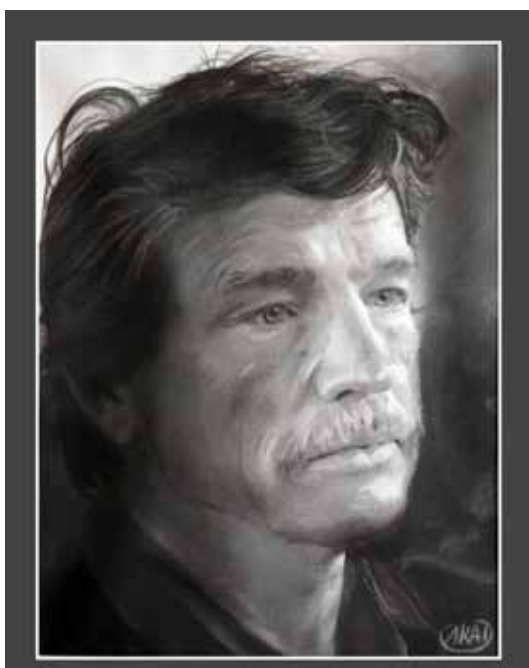
Do malarstwa nie podchodzisz egoistycznie, dzielisz się swoim rzemiosłem z innymi. Masz w sobie też pasję edukacyjną.

Nie wiem czy jest edukacyjna. Na pewno jest to pasja zarażania innych tym, że można

*Lipowa po deszczu,
akwarela, 40 x 30*



*Anioły 6, akryl,
100 x 140*



Zdzisiek Parczyński

tworzyć. Otaczam się ludźmi, którzy są po szkołach plastycznych czy architektonicznych i chcą malować. Spotykam ich na plenerach, a przede wszystkim znamy się jako absolwenci Liceum Plastycznego w Supraślu. Jesteśmy jedną rodziną, wszyscy się znają. Wiele osób zarzuciło malowanie. Pochłoneła ich praca zawodowa, rodziny albo jakieś inne przyczyny. Teraz, gdy już mają trochę więcej czasu i ustabilizowany tryb życia, chcą wrócić do malowania. Mi też na tym zależy. Chciałbym żeby każdy namalował swój obraz, powiesił w domu i mógł powiedzieć „To moje dzieło”. Wtedy nasze domy zaczynają mieć naszą duszę.

To swego rodzaju misja łączenia czy też przywracania ludzi sztuce? Osób z takim zacięciem nie ma zbyt wielu.

Często artyści są zazdrośni, a czasem skupiają wokół siebie ludzi i prawie nakazują malować innym według swoich zasad. Ja przeciwnie. Chcę żeby każdy był indywidualistą, rozwijał swoje malarstwo, technikę. Próbuję tylko przekazać zasady, których nie należy omijać, które są potrzebne.

Czujesz satysfakcję z tego co robisz?

Przy Podlaskim Instytucie Kultury prowadzę grupę „Bochemia”. Jestem z niej bardzo dumny. Przez pięć, sześć lat jej członkowie zrobili ogromne postępy. Każda ich nowa wystawa jest czymś bardzo ciekawym. Zajmują się trudnymi tematami, to jest super. Tylko gratulować!

Jakie stawiasz sobie cele artystyczne?

Nie dążę do absolutu, żeby stwierdzić, że po nim nie ma nic. Chciałbym opowiedzieć parę historii i to jest najważniejsze w tym wszystkim.

Masz jakieś marzenie poza planami twórczymi?

Gdy zacząłem pracować w WOAK, a obecnie PIK miałem jedno wielkie marzenie. Gdy pojawiła się idea Święta Ulicy Kilińskiego, miałem pomysł, by ta ulica była zakątkiem artystów. Można by było ją zadaszyć, wyłączyć z ruchu samochodowego, pozbawić jakichś dziwnych gabinetów. Marzy mi się żeby były tam tylko restauracje i pracownie artystów. Powinna tam powstać oaza dla sztuki, przestrzeń do wystawiania obrazów na deptaku, miejsce do dyskusji z malarzami o sztuce oraz miejsce letnich wystaw.

Jesteś jednym z malarzy ze środowiska tworzącego Niezależną Galerię Sztuki „Marchand”. Widzisz dla niej jakąś rolę do odegrania w tworzeniu klimatu ulicy Kilińskiego?

Może powinniśmy zacząć małymi krokami zagospodarowywać latem przestrzeń przed Galerią Marchand? Ustawić stoliczek, stworzyć miejsce do rozmowy o sztuce, o problemach. Pomóc młodym artystom wejść

do świata sztuki i środowiska artystów. Albo umożliwić tym, którzy tego chcą, powrót do malarstwa. Miasto powinno być bardziej otwarte na sztukę i szerzej na kulturę.

Twoja droga twórcza nie była pozbawiona ostrych zakrętów i zawirowań. Możesz zdradzić trochę szczegółów?

Zacząłem od konserwacji zabytków, potem było wojsko i po powrocie z wojska nie układała mi się współpraca z nowym zespołem. Zmieniłem pracę na zakład stolarski pana Floriana Ziembickiego w Choroszczy, który budował ołtarze do kościołów. Wiele mnie nauczył. Było to stolarstwo w drewnie. Wiedząc, że mam ukończone kursy stolarskie, poprosił o projekt mebli dębowych do salonu. Po zaprojektowaniu powiedział „To teraz zrobisz prototyp”. Z narzędziami i maszynami byłem obeznany, zrobiłem więc prototyp. Od tej pory zajmowałem się projektami mebli i ich prototypami. Dużo się wtedy nauczyłem i bardzo sobie cenię pana Floriana. Potem robiłem m.in. tarcze strzelnicze w komendzie policji. Następnie otworzyłem firmę, która tworzyła szyldy, reklamy, obrazy. Jak zaczynaliśmy w Białymstoku były dwie takie firmy. Po dwóch latach było może 200. Mieliliśmy duże kontrakty, ale w latach 90. ubiegłego wieku interes trzeba było zamknąć. Oczywiście cały czas też malowałem. Przez jakieś pięć lat robiłem różne rzeczy: od malowania po konserwację mebli. W roku 1997



trafiłem do Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury.

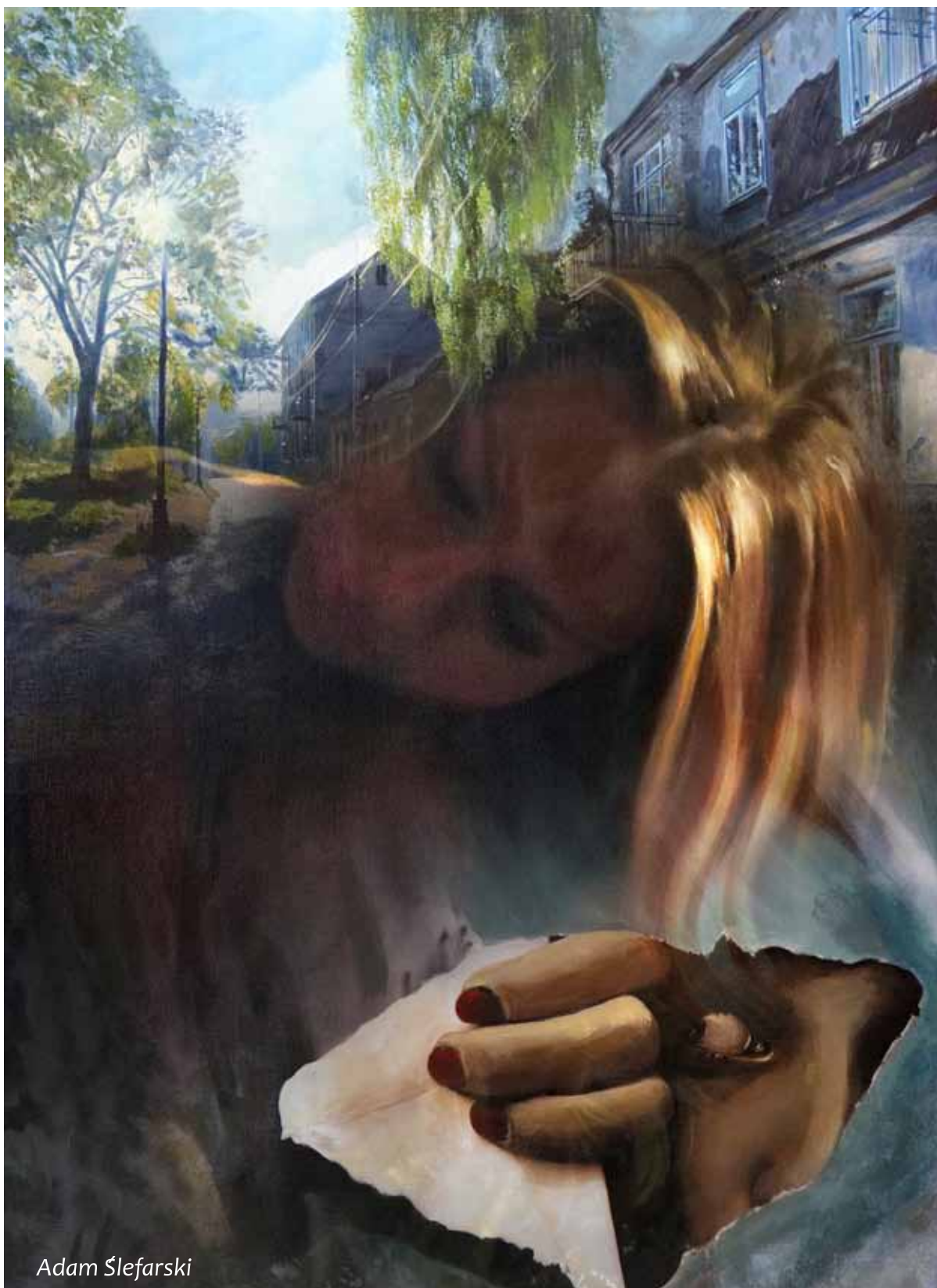
W parku, akwarela, 40 x 30

Biorąc pod uwagę Twoje duże doświadczenia, jak oceniasz instytucje wspierające kulturę w regionie?

Dobrze byłoby, gdyby władze zaczęły organizować duże imprezy wspierające sztukę. Konkursy, biennale rzeźbiarskie. Warto zaszczepiać sztukę w naszą rzeczywistość. Rządy powinni być aktywniejsi w promowaniu podlaskich artystów np. ozdabiając podległe instytucje czy biura w nasze prace. Nasza twórczość może być też dobrym prezentem dla gości z innych miast. To byłoby właściwe wsparcie lokalnych artystów.

Zima nad Narwią, akwarela, 40 x 30





Adam Ślefarski

moje miasto..., moje anioły..., moje demony...

galeria • marchand • 15 maja 2021 godz. 17.00 • Białystok



Anioły 1, akryl,
70 x 100



Demony 2, akryl,
100 x 100

Adam Ślefarski całe swoje świadome życie, ponad 40 lat związał ze sztuką. Dzięki wieloletniemu doświadczeniu, zamierzone dzieło jest w jego przypadku, świadomym wyborem konwencji, stylu, techniki i tematu. Przedstawione na wystawie prace autor zrealizował w technice akwareli, pasteli i akrylu. Operuje nimi śmiało, pewną ręką, subtelnymi barwami, uzyskując efekt światłocienia i nastrojowych przestrzeni.

Są to prace reprezentujące ostatnie 10 lat jego twórczości. Tematyka jest z założenia „sentymalna”, bo jest to... jego miasto, pejzaże i portrety, jego demony i jego anioły – przypomniane, utrwalane dla własnej i innych pamięci. Widoki i „powidoki” istniejące w wyobraźni autora jak kiedyś dawno oglądany film. Ślefarski tropi z czułością te obrazy; zakątki, ulice, domy, akcenty bujnej natury, klimat miejsc obecnych i już zaginionych. Pochwala otwarte przestrzenie poza miastem; rozległe łąki, nadrzeczne bulwary, leśne ścieżki i aleje pełne światła, przenikającego przez korony starych drzew, piękna ludzkiego ciała i twarzy. Zauważa zmiany cywilizacyjne, które z jednej strony udoskonalają nasze życie, ale też niszczą bezpowrotnie piękno natury. W każdym

z tych światów jest poszukiwaczem nastroju i harmonii.

Każda wystawa malarska to doświadczenie, przenikanie do innego świata – świata malarza, jego stylu i techniki. To zagłębienie się w historię, którą opowiada i emocje, które odczuwamy podczas oglądania. Pamiętamy, przeżywanie sztuki jest procesem, który może trwać i rozwijać się przez całe życie.

„Rodzimy się sami, żyjemy sami, umieramy sami. Tylko za pomocą naszej miłości oraz przyjaźni tworzymy na chwilę iluzję, w której nie jesteśmy sami.”

- Orson Welles

Tworzenie daje możliwość utrwalenia miłości, przyjaźni i iluzji.

- autor



Anioły 2, akryl,
70 x 100





KOBIETA

w Galerii Marchand

Krzysztof
Koniczek



W sztuce Kobieta, jako byt ziemski, ma w sobie wszystkie elementy na które składa się nasze doczesne życie. Jest symbolem narodzin i śmierci, zwycięstwa i porażki, dumy i upadku, stabilizacji i rozpadu.

Kobieta zmienną jest (La donna e mobile). Ona, jej ciało, jego ekspresja i kształty posiadają w sobie tyle tajemnic, zagadek do odkrycia, że temat Kobiety wydaje się niewyczerpanym.

Jako mężczyzna „rodzić” będę nowe rysunki i obrazy z wizerunkiem kobiet, bo mężczyzna może jedynie „rodzić” poprzez twórczość lub zbliżone do sztuki działania.





Artyści na pomoc Kubusiowi

Utalentowani i o wielkim sercu. Artyści związani z Galerią Marchand włączyli się w pomoc Kubusiowi Suchodole z Hajnówki. Dwuletni chłopczyk cierpi na rdzeniowy zanik mięśni. Do walki z tą chorobą potrzebuje najdroższego leku świata.

Swoje prace na licytację dla Kubusia przekazali:

Joanna Czajkowska, Elżbieta Gibulska, Katarzyna Wołkowicka, Stefan Rybi, Stanisław Sierko, Adam Ślęfarski, Aleksander Grzybek, Michał Janczuk, Krzysztof Koniczek, Eugeniusz Wiszniewski, Grzegorz Radziejewicz, Zbigniew Waszczeniuk, Daria Ostrowska, Alicja Szkil, Krzysztof Chyży, Elżbieta Grzybek, Jacek Niekrasz

Dochód z licytacji obrazów trafił na zbiórkę na terapię genową.

Dziękujemy w imieniu Kubusia Suchodoły i jego bliskich!

www.siepomaga.pl/kubus

Jestem Kuba, mam prawie 2 lata.

Choruję na śmiertelną chorobę SMA1 - rdzeniowy zanik mięśni. SMA to straszny potwór, który zabrał mi beztrudne dzieciństwo. Nie mogę z niego korzystać w pełni jak mój zdrowy brat bliźniak, ale mam szansę na lepsze życie!

Do walki z SMA potrzebuję najdroższego leku świata - terapii genowej Zolgensma. Sam nie uzbieram ponad 10 mln zł. Pomożesz mi?

Zbiórka publiczna zgłoszona do MSWiA nr 2020/1731/KS

Pomoc w walce z chorobą można kierować na konto Fundacji Siepomaga
89 2490 0005 0000 4530 8240 7892
z dopiskiem:
22337 Kubus Suchodola - darowizna.

Przygody Kubusia SMAczka
Licytację dla Kubusia Suchodoły z SMA
Drużyna Kubusia - razem wygramy z SMA



DARIA ALICJA OSTROWSKA





Daria Alicja Ostrowska (ur. 12.08.1986 r. w Lidzbarku Warmińskim)

Ukończyła Państwowe Liceum Plastyczne w Olsztynie na kierunku ceramiki artystycznej, a następnie Instytut Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego również w Olsztynie, gdzie uzyskała dyplom z malarstwa. Obecnie mieszka i tworzy w Choroszcy koło Białegostoku. Swoją twórczość prezentowała na wystawach indywidualnych m.in: w Grodnie, Warszawie i Białymstoku. Prace Darii Ostrowskiej brały udział w wielu wystawach zbiorowych organizowanych przed aukcjami sztuki, jak również podczas zbiorowych ekspozycji w Galerii Marchand w Białymstoku czy ProjecArt w Warszawie. Artystka uczestniczyła w cenionych targach sztuki organizowanych przez American Friends of Warsaw – Art Fresh Festiwal. Jej obrazy znajdują się w kolekcjach prywatnych w całej Polsce.

Prace Darii Ostrowskiej skupiają się głównie na kobiecie. Jednak celem nie jest ukazanie stricte fizycznego piękna postaci. Kobieta w obrazach artystki jest myślowym emocjonalnym skrótem – metaforą smutku, nadziei, radości. W swoich pracach często nawiązuje do motywów ludowych, baśni. Ogromną inspirację, wynikającą z mieszanych polsko-ukraińskich korzeni, stanowią dla niej ikony – święte obrazy gdzie postać jest symbolem, nie ciałem. Istotną rolę w pracach artystki odgrywa mowa ciała, która staje się ceremonią – gdzie każdy gest, kierunek postaci lub jej statyczność – mają znaczenie.



KRZYSZTOF CHYŻY





Urodziłem się w Białymstoku, ta przestrzeń mnie stworzyła. Nie tylko chodzi tu o szkołę, Wydział Architektury PB. To także obserwacja i działania, codzienność oraz dni świąteczne, wydarzenia, które zostawiły ślad. Ludzie, dzięki którym się rozwijałem. To Białystok ze swoimi zmianami i miejscami, które rysowałem, fotografowałem. Także z tymi, które odeszły. Wszystko ważne, rozwijające, uczące.

Doświadczenie życia. Okazało się, że nie pierwsze. W moim przypadku rysowanie i malarstwo, zainteresowania z dzieciństwa trochę zapomniane, powróciły po latach jak fale na wodzie. Dzięki życzliwej osobie trafiłem na plenery organizowane przez WOAK w Białymstoku (obecnie Podlaski Instytut Kultury), biorę udział w warsztatach malarsko-fotograficznych. Właściwie wszystko zaczęło się od mojego pierwszego pleneru w 2010 roku. Początek drogi twórczej. Poznałem odpowiednich ludzi i zrozumiałem jak sztuka (i to właśnie ona) jest ważna w moim życiu. Zostałem przyjęty do grupy twórczej „Bochemia”. Bo w grupie jest lepiej, ciekawiej, nie zawsze łatwiej, ale warto działać, tworzyć i myśleć... wspólnie. Od 2015 roku brałem udział w wystawach zbiorowych tej grupy. Ekspozycje

podsumowują kolejne lata wspólnej twórczości. Spotkania, rozmowy o sztuce, technikach malarskich i graficznych, wyzwania związane z corocznymi tematami na prace, które były prezentowane na tych wystawach. To nie tylko wymiana doświadczeń, to kontakt z twórczością innych osób.

Sam nie wiem jak, lecz to się zdarzyło. W 2017 roku trafiłem do Wrocławia. Rozpocząłem Studia II stopnia na Wydziale Malarstwa i Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu im. Eugeniusza Gepperta na kierunku malarstwo. W marcu 2019 roku uzyskałem dyplom w pracowni prof. Aleksandra Dymitrowicza (malarstwo) i prof. Przemysława Pintala (multimedia). Te drugie (a może jednak pierwsze...) studia dały mi doświadczenie, pewność twórcy i człowieka, który znalazł odpowiednie miejsce oraz kierunek dalszych działań. Studia artystyczne podsumowały pewien okres życia. Dyplom i temat „Terytorium” to nowy początek.

W 2020 roku zostałem stypendystą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Kultura w sieci na projekt „Miejsce człowieka a terytorium artysty”. Nowy początek staje się nowym działaniem.



SPORTRETOWANI

dr Tomasz
Wiśniewski

Galeria
im. Sleńdzińskich
w Białymstoku

*polski dziennikarz, filolog, kul-
turoznawca i historyk, doktor
nauk humanistycznych, autor
publikacji poświęconych sto-
sunkom polsko-żydowskim
oraz historii Białostocczyzny.*

Wisały na słabo oświetlonym korytarzu Domu Pomocy Społecznej „Spokojna Przystań” w Garbarach (Podlaskie). Ledwo widoczne, zdawałoby się niepotrzebne, takie „zapchaj-dziury”, aby przykryć pociapane tynki wąskiego i długiego przejścia prowadzącego do skromnych pokoiów mieszkańców DPS. Na dyckie, kartonach. Ale były i oleje na płótnach.

1

Na takich ścianach zawsze się wiesza coś, czego nikt nie ogląda, ale tradycja dopomina się, aby wypełnić pustą przestrzeń. Być może kilka razy spadły, gdy do stołówki zmierzał sznurek lokatorów DPS.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem prace Krzysztofa wróciły wspomnienia, ale i kompleksy gdy przed laty próbowałem własnych sił w grafice pod okiem Jerzego Lengiewicza, a potem w studenckiej Galerii Raport zrealizowałem kilka wystaw. „Na peryferiach oficjalnej kultury odkrywamy twórczość formalnie zaskakującą i treściowo zagadkową, która intryguje, porusza do głębi, wyzwała pozytywne i negatywne emocje” – pi-

sała Grażyna Borowik-Pienik na łamach Tygodnika Powszechnego w 2017 r. utwierdzając mnie, że warto pokazać te prace w przestrzeni wykraczającej poza słabo oświetlony korytarz.

2

Oficjalnie zarejestrowany jako niepełnosprawny intelektualnie. Jakże to dziwaczne! A kto z nas taki nie jest? Może dlatego, że jego wrażliwość i obserwacja świata daleko wykracza poza ramy tradycyjnego widzenia świata? W ostatnich czterech latach Krzysztof miał kilka wystaw. Wydaliśmy mu komiks w opracowaniu Marioli Łotysz. W Lublinie w Galerii Art Brut, w świetle kamer i fleszy, otworzył autor-ską wystawę, inicjując ogólnopolski cykl poświęcony twórczości balansującej pomiędzy religią i erotyką. Powstało o nim kilka filmów (m.in. dokument „Kropla Krwi” z Jego ilustracjami wygrał dwa międzynarodowe festiwale filmowe). Malarstwo i grafika Krzysztofa zaistniała w projektach artystycznych („Kobieta na ruchomych Piaskach”) i muzycznych (Radek Orłowski i Ida Popławska „Sieciobol”, bracia Paweł i Piotr Oziabło „Out Of Body Experience”).

Poprosiłem Krzysztofa, aby sportretował współlokatorów wśród których żyje, których codziennie widzi na korytarzu, na wspólnym obiedzie. Podobnych do niego: często skrzywdzonych przez nieprzewidywalny los, z osobliwymi problemami mentalnymi, po fatalnych splotach wydarzeń, nagle osamotnionych, a teraz uległych i wyciszonych, żyjących jak w jakimś surrealistycznym śnie.

Zdecydował się na węgiel. Mroczne, smutne, samotne twarze, nasuwają skojarzenia z Maxem Ernstem, ale przecież Krzysztof nie zna tego nazwiska. Jest odizolowany od tzw. tradycji, modnych trendów, jakiegokolwiek fangorowania. Jeden z jego komiksów miał tytuł „Mroczna Nadzieja”... Masło maślane. A może jednak nie...? Czy perspektywa młodego człowieka, który złamał sobie życie przez narkotyki może być zrozumiałą optyką dla nas?

A w końcu my sami? Jaka jest nasza optyka postrzegania świata? Spójrzmy na „węgle” Krzysztofa Dąbrowskiego i na siebie samych. Czy cokolwiek jeszcze wokół dostrzegamy? Z coraz większą swobodą omijamy drugiego samotnego człowieka... Jak pisze Olga Tokarczuk nie widzimy, że „świat staje się zbiorem rzeczy i wydarzeń, martwą przestrzenią, w której poruszamy się samotni i zagubieni, miotani czyimiś decyzjami, zniewoleni niezrozumiałym fatum, poczuciem bycia igraszką wielkich sił historii czy przypadku. Nasza duchowość zanika albo staje się powierzchowna i rytualna. Albo po prostu stajemy się wyznawcami prostych sił – fizycznych, społecznych, ekonomicznych, które poruszają nami, jakbyśmy byli zombie.” Czy twarze które widzicie, to przypadkiem nie jesteśmy my? Współcześni zombie.

* * *

Krzysztof Dąbrowski, ur. w 1977 Białymstoku. Wychowywał się w domu babci i dziadka, gdzie czuł się bezpieczny i kochany. Pasjonował się przygodami Thora – komiksowego bohatera powołanego przez Grzegorza Rosińskiego. Nieśmiały, skryty i wrażliwy chłopak, często wyszydzany i poniżany sięgnął po narkotyki. Wydawało się, że to idealna ucieczka od rzeczywistości. Wiemy, że to droga donikąd. Trafiwszy do DPS „Spokojna Przystań” nie sądził, że kiedykolwiek będzie malował. Dzięki dobrym warunkom do pracy i życzliwości personelu DPS, prowadzonego przez Stowarzyszenie Aktywnie Przeciw Depresji, odnalazł akceptację i powróciła chęć do tworzenia.





HISTORIA PEWNEJ GRAFIKI

Grzegorz Radzewicz
przy przenoszeniu
rysunku na matrycę.

Grafika artystyczna zwana też grafiką warsztatową – czym jest, o co w niej chodzi i jak się ją tworzy?

Grzegorz
Radzewicz

Artysta malarz, grafik.

Aby dzisiaj zrozumieć znaczenie pojęcie „grafika artystyczna” trzeba – przynajmniej w skrócie – poznać jej historię. Na początku chodziło po prostu o możliwość powielenia obrazu. Wykorzystywano do tego proste pieczęcie do odbijania na tkaninie, wosku i glinie. W Europie grafika rozpowszechniła się w poł. XIV wieku w postaci drzeworytów i miedziorytów. W drugiej połowie XV w. szczególnie rozwijał ją Albrecht Dürer (1471-1528) – niemiecki malarz, grafik, rysownik i teoretyk sztuki, uważany za najwybitniejszego artystę niemieckiego renesansu. Twórca, o którym nie można tutaj nie wspomnieć. To dzięki niemu grafika zaczęła być postrzegana nie tylko jako sposób powielania obrazów, ale też jako narzędzie do wypowiedzi artystycznej.

Dopiero jednak XIX w. – wynalezienie fotografii oraz nowych technik poligraficznych, masowego druku przemysłowego – wyzwolił grafikę z roli reprodukcyjnej. To wtedy jasno

zarysował się podział na grafikę artystyczną i reprodukcyjną. W grafice artystycznej dziś już nie chodzi o czynnik użytkowy, ma ona służyć do swobodnego wyrażania koncepcji twórczej artysty. Jedyną częścią wspólną dla obu tych technik została matryca, która zakłada możliwość powielania obrazu.

Charakterystyczną cechą grafiki artystycznej jest skupienie w rękach artysty całego procesu twórczego: od projektu, poprzez dobór odpowiedniej techniki i opracowania matrycy, po wykonanie odbitek.

Grafikę ze względu na technikę druku dzielimy na: druk wypukły, druk wklęsły, druk płaski, druk sitowy i grafikę komputerową, gdzie matryca ma formę zapisu cyfrowego.

Do wyjaśnienia procesu twórczego posłużę się jedną z moich grafik pt. „Workshop”. Praca została wykonana w technologii druku wklęsłego, co oznacza że częścią drukującą były elementy wyryte w płaskiej powierzchni

matrycy.

Pierwszym i zasadniczym krokiem przy tworzeniu jest oczywiście pomysł. Następny jest stworzenie projektu, może to być po prostu rysunek ołówkiem na papierze itp. Na etapie projektowania wybieramy już technikę z jakiej będziemy korzystali. W moim wypadku był to druk wklęsły. Jako matrycy użyłem blachy cynkowo-tytanowej.

Przygotowanie matrycy

Matrycę, po docięciu do wymaganego formatu grafiki, należy wypolerować. Do tego celu służy drobny papier ścierny oraz w drugim etapie – pasta polerska. Na tak przygotowaną powierzchnię możemy nanieść nasz projekt.

Pracę nad grafiką zacząłem od wycięcia rylcem miedziorytniczym postaci centralnej oraz mechanizmów w lewej części. Pozostałą część grafiki postanowiłem wykonać w technikach trawionych: akwaforty i miękkiego werniksu.

Technika akwaforty polega na wytrawianiu matrycy w kwasie azotowym. Zanim jednak do tego przystąpimy, wcześniej musimy zabezpieczyć matrycę specjalnym werniksem odpornym na działanie kwasu. Na tak przygotowanej powierzchni rysujemy igłą lub innym twardym narzędziem. Po zanurzeniu w kąpieli trawiącej, w miejscach odsłoniętych kwas trawi rysunek.

Technika miękkiego werniksu należy także do technik trawionych. Od akwaforty różni się rodzajem werniksu i sposobem tworzenia rysunku. Dzięki niej możemy odbijać na grafice naturalne struktury oraz imitować ślad ołówka, węgla czy kredki. Po każdym z kolejnych etapów wykonywałem odbitkę próbną dla sprawdzenia zgodności projektu z efektem pracy.

Odbijanie grafiki

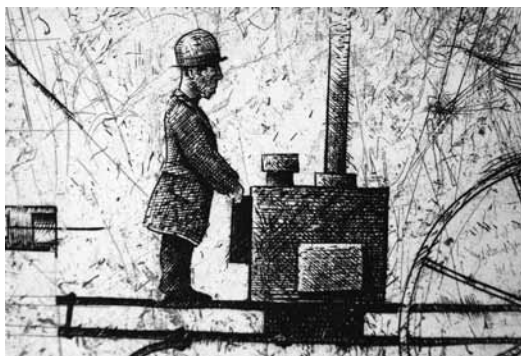
W druku wklęsłym zaczynamy od wtarcia farby graficznej w matrycę. Następnym krokiem jest usunięcie resztek farby z płaskiej powierzchni, tak żeby została tylko w miejscach do tego przygotowanych. Papier jest kolejnym istotnym elementem w tworzeniu grafiki. Jego świadomy wybór będzie miał ogromny wpływ na efekt końcowy. Przed wykonaniem odbitki musi być zwilżony aby lepiej przenosił rysunek. Niestety w tym rodzaju druku nie obejdziesz się bez prasy graficznej. Na jej blacie kładziemy matrycę rysunkiem do góry, potem zwilżony papier i filc, który pod naciskiem „wbierze” farbę z matrycy.



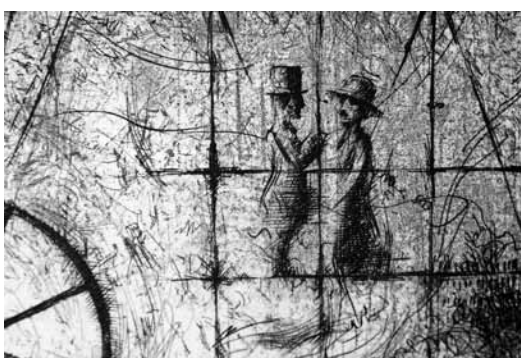
Prasa graficzna autora.



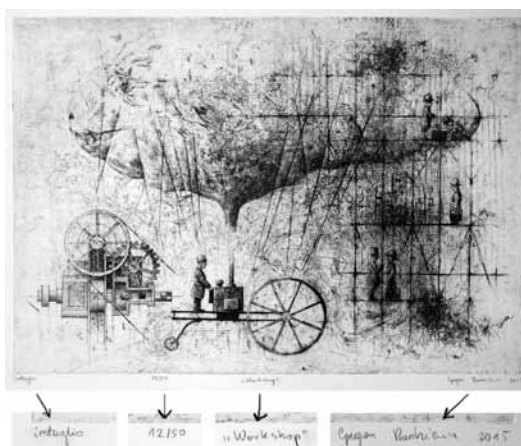
Rylec miedziorytniczy, którym został wykonany widoczny na matrycy ryt.



Fragment gotowej grafiki



Fragment gotowej grafiki



Grafika „Workshop”, efekt końcowy. Gotową grafikę podpisujemy ołówkiem. W lewym dolnym rogu zapisujemy technikę jakiej użyliśmy. W moim przypadku będzie tam napis „intaglio” – co oznacza nie jedną, ale zestaw kilku technik w druku wklęsłym. Potem jest informacja o nakładzie. Oznaczenie „12/50” informuje, że jest to dwunasta odbitka z nakładu 50 sztuk. Na końcu podajemy imię i nazwisko autora oraz rok wykonania.

PO CO NAM ROK BRANICKIEGO?



Ogłoszony na 2021 Rok Jana Klemensa Branickiego skłania do próby odpowiedzi na pytanie – dlaczego właściwie fetujemy tę postać?

Andrzej
Lechowski

Historyk. Wieloletni dyrektor Muzeum Podlaskiego w Białymstoku, znawca historii Białegostoku i Podlasia, autor wielu publikacji z zakresu historii regionu.

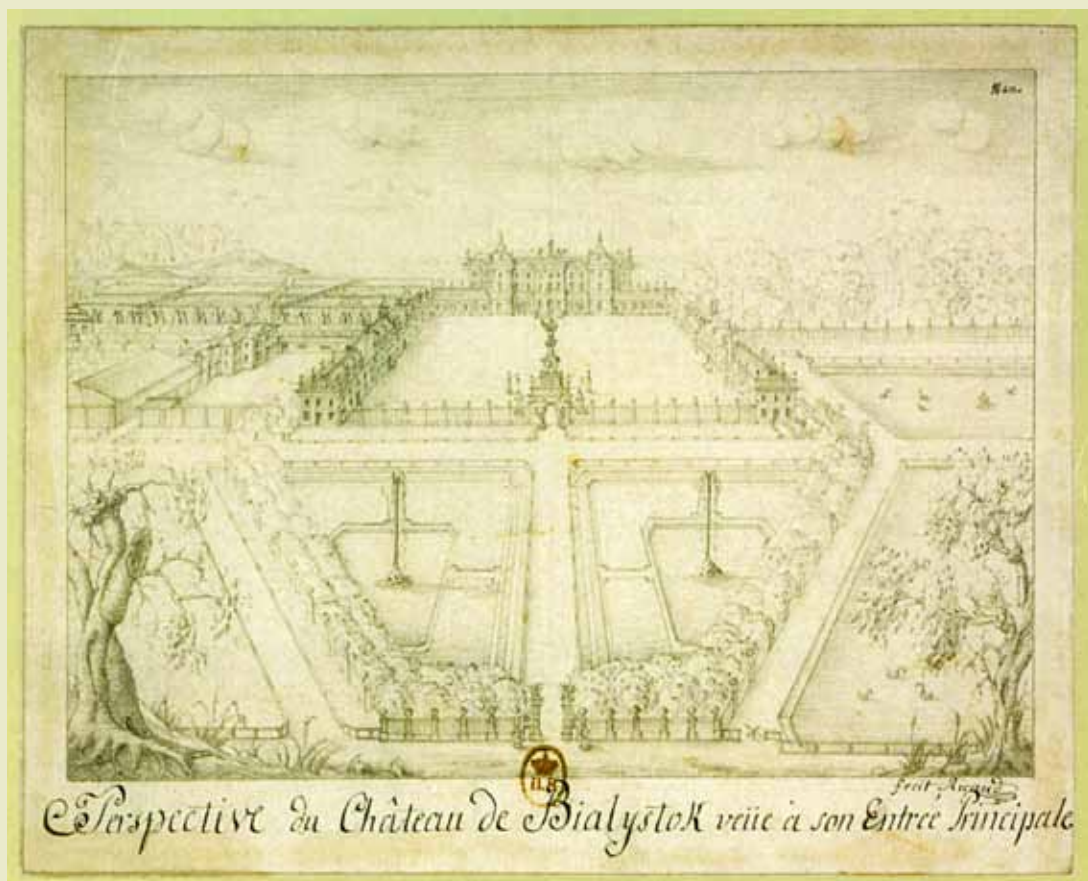
Czy za to, że mamy w Białymstoku pałac z kawałkiem barokowego ogrodu? Przecież te pozostałości dawnego Wersalu Polskiego w żadnej mierze nie odzwierciedlają wielkości i przepychu XVIII-wiecznej rezydencji. To może wart jest Jan Klemens poświęconego sobie roku z racji dokonań na niwie politycznej. Wszak wiek XVIII w historii Polski to tak zwane ciekawe czasy. A wiadomo, że w ciekawych czasach zdecydowanie łatwiej o wykazanie się, zabłyśnięcie. Nie miejsce tu na historyczne wywody pokazujące chylenie się Rzeczypospolitej ku upadkowi i jednocześnie z tym próby jej reformowania. Czytelnik mógłby poczuć się zagubiony.

No, ale i Jan Klemens Branicki w swoim politycznym zaangażowaniu też czuł się podobnie. Nie potrafił sam siebie określić ideologicznie i światopoglądowo. Nie miał nawet takiej potrzeby intelektualnej. Sens publicznego funkcjonowania sprowadził do swoistego kolekcjonowania urzędów. W wieku 34 lat został podczaszym litewskim. W XVIII w. był to wyłącznie honorowy tytuł jednak intratny i uznawany za początek kariery. Nie bez złośliwości, można zauważyć, że historyczne kompetencje podczaszego, czyli dbanie o trunki, desery i inne frykasy były bodaj najbardziej zbliżone

do upodobań Branickiego. Jemu jednak nie o to chodziło. Już rok później, w 1724 roku, otrzymał tytuł chorążego wielkiego koronnego. To z kolei był start w karierze wojskowej. Branicki doskonale wiedział, że nic tak nie przemawia do zbiorowej wyobraźni szlachty jak postać wodza i postanowił uczynić wszystko aby wodzem zostać. Pomagało mu w tym mgliście udokumentowane wykształcenie wojskowe. Jednak jak pisała Anna Oleńska „nie dysponujemy żadnymi danymi na temat edukacji Jana Klemensa”, a Władysław Konopczyński w Polskim Słowniku Biograficznym drwił z tego wojskowego wykształcenia pisząc, że adept „zdaje się nie wahać prochu”. Nie było to przeszkodą, aby w 1728 roku Jan Klemens Branicki został generałem, a w 1735 hetmanem polnym, choć jak pisała Elżbieta Kowicka „większej działalności wojskowej jednak nie przejawiał”. Ten brak działalności nie był też żadną przeszkodą do zostania w 1752 roku hetmanem wielkim koronnym. Tym samym znalazł się Branicki w otoczeniu swych wybitnych poprzedników – Jana Zamoyskiego, Stanisława Żółkiewskiego, Stanisława Koniecpolskiego czy Jana Sobieskiego. Ta wyraźna różnica pomiędzy nimi, a przejawiającym nieposkromione ambicje Branickim spowodowała, że przylgnął do niego kpiący przydomek Le Wódz.

Pozostały nam pamiątki po tej „karierze” wojskowej. To kilka portretów Branickiego na których kazał się uwiecznić a to w rycer-

Widok elewacji frontowej pałacu Branickich, 1755-1757, P. Ricaud de Tirregaille, ze zbiorów Francuskiej Biblioteki Narodowej



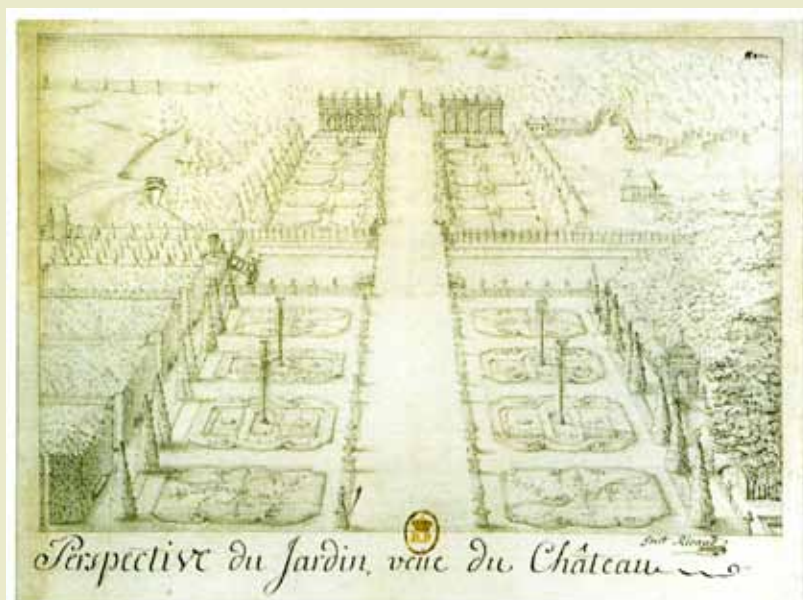
skiej zbroi, a to z dumnie dzierzoną buławą hetmańską. W białostockim starym kościele na nagrobku jego serca umieszczone zostały insygnia wojskowej władzy: szabla, buława, buńczuk i hełm z wieńcem laurowym oznaczającym zwycięskiego (niezwyciężonego) wodza. Bo i w istocie Le Wódz był niezwyciężony, bo nigdy do boju nie stanął. Z kolei w Tykocinie Branicki w 1762 roku ufundował pomnik Stefana Czarnieckiego. Trudno oprzeć się wrażeniu, że sława ojca jego babki Aleksandry Katarzyny z Czarnieckich Branickiej miała budować wizerunek Jana Klemensa. Tym jednym pomnikiem chciał pokazać, że jest sukcesorem bohaterskiego obrońcy Rzeczypospolitej.

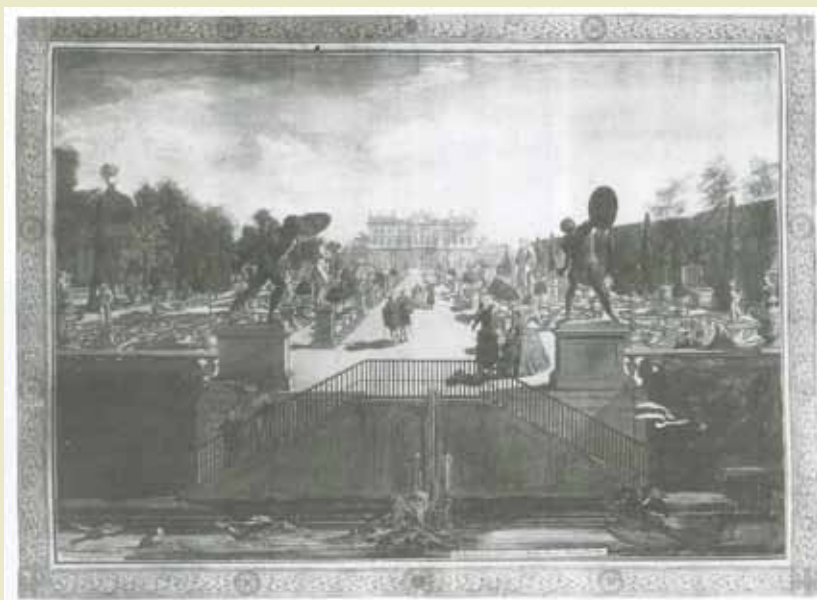
Jak więc widać czczenie Branickiego z uwagi na jego wojskowe awanse nie jest tak oczywiste. No to może polityk? Tu już panuje całkowity galimatias. Jak pisał w swoim pamiętniku Stanisław August Poniatowski, to Branicki „namiętnie lubiący wystawność, ciągle nią zajęty nie zawsze przebierał w środkach, gdy szło o jej podtrzymanie; ograniczony jako polityk i bardzo leniwy, posiadał niesłychaną uwagę i przebiegłość w rzeczach dotyczących jego prywatnych przedsięwzięć i celów”. W rzeczy samej Branicki lawirował. Stroił się w sarmackie piórka, a jednocześnie wchodził w układy z reformatorem Rzeczypospolitej. Z jednej strony cieszył się autentycznym posłuchem wśród szlachty, a z drugiej mocno tkwił w magnackim otoczeniu. Władysław Ko-

nopczyński pisał o nim jako polityku, że „miał przyjaciół, ale stronnictwa politycznego utworzyć ani prowadzić nie umiał”. Nie zauważał, a chyba i nie rozumiał oświeceniowych nurtów, które zaczęły opanowywać Europę.

Dla Branickiego cel stanowiła kariera osobista. Celem też były pieniądze. Temu służyć miało, jak to określił Konopczyński, „ciułanie” od 1709 roku intratnych starostw – brańskiego, bielskiego, krośnieńskiego, mościskiego, złotoryjskiego, bogusławskiego. Przez wszystkie lata swej kariery Jan Klemens Branicki był zaufanym stronnikiem Sasów. Jego zażyłość z królem Augustem II Mocnym

Widok na ogrody pałacowe, 1755-1757, P. Ricaud de Tirregaille, ze zbiorów Francuskiej Biblioteki Narodowej





Widok salonu ogrodowego, 1748-1750, M. H. Rentz, ze zbiorów Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku

zaowocowała nadaniem mu w 1726 roku Orderu Orła Białego, a przypieczętowana została kilkumiesięcznym pobytem chorego monarchy w Białymstoku na przełomie lat 1726 – 1727. Wspierał też Augusta III Sasa. W tym wspieraniu posuwał się do zaspokajania prymitywnych upodobań króla. Bo jakże inaczej nazwać trzeba to, co wydarzyło się w 1752 roku w Choroszczy. Opisał to w Pamiętniku Stanisław August Poniatowski, który nie krył zbulwersowania całym wydarzeniem. Otóż bawiącemu w Białymstoku Augustowi III Branicki przygotował „polowanie” w choroskim parku. Sprowadzało się do tego, że „mnóstwo dzikiego zwierza, przywieziono w klatkach do tego rozkosznego miejsca, pędzono po wąskiej drożynie z desek między dwoma ścianami aż na wierzchołki drzew rosnących nad kanałem, tam znajdowały się urządzone pułapki, przez które zwierzyna z wysokości trzydziestu stóp spadała do wody, co dawało królowi sposobność do strzelania w lot, gdy zechce, do wilków, dzików i niedźwiedzi”. Można powiedzieć, że taka to była epoka, ale trzeba wiedzieć, że tylko Branicki kazał zaganiać zwierzęta na drzewa, aby można było strzelać do nich „w lot”. Inni magnaci, którzy urządzali królowi „myśliwskie” rozrywki ograniczali się do dostarczania zwierzyny na miejsce królewskiego strzelania. Po śmierci Augusta III w 1763 roku wykalkulował Branicki, że teraz on zostanie królem. Kreował się na „Piastą”, próbował zawiązywać różne przymierza, zabiegał na europejskich dworach o poparcie i snuł intrygi. Wszystko okazało się nieskuteczne. Królem został Poniatowski, co jeszcze bardziej pogłębiło niechęć pomiędzy szwagrami.

Jedynym udanym dziełem Branickiego był Wersal Podlaski. Powstawał przez dziesięciolecia i miał być widocznym dowodem

znaczenia Branickiego. Zwykło się podkreślać jego mecenat. Jednak nie był on realizowany w duchu oświecenia. Branicki nie był erudytą. Jego księgozbiór to zaledwie około 200 książek. Były to w większości dzieła poświęcone architekturze. W Białymstoku nigdy nie powstała kolekcja sztuki, nie interesował się też tak popularną wówczas historią naturalną. Jego upodobania były raczej odtwórcze. Zatrudniał na swoim dworze artystów, których wcześniej zauważył u innego z magnatów. Gdy wszyscy mieli dworskie orkiestry, to i Branicki też ją miał. Gdy wszyscy mieli oranżerie, to i w Białymstoku powstała.

Anegdotycznie zabrzmić mogą starania Branickiego o kupienie strusia. W 1730 roku podjął próbę. Ze Lwowa pisano do jego pierwszej żony Katarzyny z Radziwiłłów, że oto można zakupić strusia, który „jest wielkości, gdy szyję uniesie do góry na chłopa rosnącego, głowy indyjskiej, pyska gęsiego, szyi na kształt łabędziej, ale nierównie dłuższej, w kolorze na grzbiecie jak cietrzew, nogi od kolan do stóp żurawie, same zaś stopy, a bardziej racice podobne są bydłęcym, bo tylko u obydwóch po półtrzecia ma palca. Jada mięso, szkło, kamyczki, a jak się rozgniewa to i żelazo”. No i strusie w Białymstoku też w związku z tym były. Poczynania Jana Klemensa wynikały z ducha epoki i jemu się poddawał. Tego wymagała pozycja, którą zajmował i ambicje bycia „najrzadniejszym magnatem w Polsce”.

Z tej oceny rodzi się kolejne pytanie – czemu służyć ma Rok Branickiego? Przecież nie odmieni krytycznej oceny jego roli u schyłku Rzeczypospolitej. Nie spowoduje też odtworzenia wspaniałości białostockich dóbr. Nadal część białostoczian uważać będzie pałac, dwa dziedzińce i salon ogrodowy za całość Wersalu Polskiego. Robi to na nich wrażenie, bo przecież wielokrotnie przekracza ich obecne realia choćby tylko mieszkaniowe. Czy zatem Rok Branickiego ma pokazać Hetmana jako wzór? Sądzę, że lepiej aby tak się nie stało. Czy może więc ma budować naszą białostocką tożsamość? To też się raczej nie uda, bo Białystok Wersalem Polskim nigdy nie był! Był jedynie „schludnie urządzonym miasteczkiem”, a Wersalem była rezydencja. Trudno odpowiedzieć na te pytania. Jest jednak pewna obawa, że Rok przyczyni się do dalszej bezrefleksyjnej budowy wyidealizowanego portretu sprawdzającego się do stwierdzenia, że Jan Klemens Branicki wielkim hetmanem był.

PODLASKI WERSAL

Historię tworzą ludzie, historię kultury zaś ci, którym kultura jest do życia potrzebna. Są wśród nich wielcy artyści – malarze, rzeźbiarze, architekci, poeci, literaci i cała plejada twórców, a także – a może przede wszystkim – zleceniodawcy, zwani niegdyś mecenasami.

Dzięki mecenasom artysta nie przymierał głodem, niekiedy nawet zdobywał pokaźny majątek. Talent nie wystarczał, artysta musiał zdobyć potrzebne wykształcenie, nawet przez siedem lat uczył się w warsztatach cechowych i odbywał obowiązkową kilkuletnią wędrówkę czeladniczą, najlepiej do Włoch albo chociaż do Wiednia. Nic więc dziwnego, że niewielu malarzy wywodziło się z niższych warstw społecznych. Status artysty w XVII i XVIII w. był dość wysoki, bowiem nierzadko sięgali oni po wysokie urzędy miejskie. Honorarium twórcy zależało od wartości zużytych materiałów, czasu, jaki poświęcił dziełu, wreszcie – od reputacji i zasobności zleceniobiorcy. W historii sztuki zachował się przekaz o żyjącym na przełomie XVII i XVIII wieku synu młynarza Adriaenie van der Werff. Ten mistrz cechowy z Rotterdamu i nadworny malarz elektora palatynatu, żądał za swoją pracę 25 guldenów dziennie, niezależnie od tematu i wielkości obrazu. To była przeciętna miesięczna płaca dobrego rzemieślnika. Do honorarium doliczał wydatki na ramę, pakowanie i transport dzieła. Co prawda uważany był za największego malarza holenderskiego, a takim tytułem mało kto mógł się poszczycić.

Najhojniejszymi zleceniodawcami – poza Kościołem – byli magnaci, w mniejszym stopniu panowie szlachta. Na Podlasiu w XVIII w. zleceniodawcą był głównie Jan Klemens Branicki, dumny posiadacz tytułu „najrzędniejszego magnata w Polsce” i kawaler Orderu Orła Białego. Hetman wielki koronny, jeden z najbogatszych w Polsce posesjonatów, był fundatorem wielu świątyń, wznosił kilka pałaców i utrzymywał wielki artystyczny dwór. Zdaniem historyków to on w XVIII w. wywarł wpływ na nasze dzieje narodowe, należał najważniejszych postaci elity politycznej i umysłowej. Zdolny, bajecznie bogaty i chwalony za rozsądek, bystrość umysłu i trafność ocen magnat został kandydatem do polskiej korony. Pod jego rządami Białystok stał się nowoczes-

nie urządzonym prywatnym miastem – zapleczem rezydencji jednego z najpotężniejszych magnatów w kraju.

Tworzyła dlań plejada artystów i rzemieślników różnych specjalności, pochodzących z wielu krajów Europy i obdarzonych różnym talentem. Do najwybitniejszych w tym gronie należał Augustyn Mirys, niegdyś jeden z głośniejszych artystów w Rzeczypospolitej. Chlebodawca najpewniej docenił pracowitość malarza, skoro ten dorobił się nie tylko domu z ogrodem w Białymstoku, lecz także tytułu szlacheckiego. Artysta był postacią ciekawą, był abstynentem i wegetarianinem, ale w życiu prywatnym szczęścia nie miał. Żona popadła w alkoholizm, córkę oddał na wychowanie, zaś jego jedyny syn Sylwester zerwał z nim kontakty. Biografia artysty kryje wiele tajemnic. Miał się urodzić ok. 1700 r. (ta data jest ostatnio kwestionowana) w Paryżu w rodzinie szkockich imigrantów. Ponoć malarskiego rzemiosła uczył się w Królewskiej Akademii Malarstwa i Rzeźby w Paryżu oraz w Rzymie, skąd przybył do Polski, ale nie ma dowodów, że odebrał akademickie wykształcenie. W naszym kraju miał w niejasnych okolicznościach trafić do więzienia i ukrywać się w zakonach. Ten awanturniczy okres zakończył się w połowie XVIII w. zaproszeniem na dwór Jana Klemensa Branickiego. Był artystą biegłym w technice olejnej, pastelu i fresku, malował też na tkaninach, m.in. niezachowaną kurtynę białostockiego teatru dworskiego. Tworzył portrety, sceny religijne, historyczne, mitologiczne i fêtes ga-

■
Joanna
Tomalska-
-Więcek

Historyk sztuki, autorka wielu publikacji związanych z historią sztuki podlasia.



Fot. za: „Modus. Studia z historii sztuki”, t. XIX (2019)

lantes, czyli wytworne sceny dworskie. Miarą talentu tego nadal zbyt słabo znanego malarza jest jego młodzieńczy portret żywo patrzącego wprost na widza modela w peruce [fot. 1]. Młodzieńcza przenikliwość i żywość spojrzenia po dziś dzień wywiera duże wrażenie i dowodzi malarskiej biegłości.

Augustyn Mirys był tylko jednym z wielu artystów, pracujących na dworze hetmana Jana Klemensa Branickiego. Ten zaś, przebywając wiele lat w Paryżu, doskonale zdawał sobie sprawę z wartości kultury jako doskonałego środka promocji, przede wszystkim rzecz jasna promocji zleceńodawcy. Dlatego nie tylko kazał tworzyć portrety siebie i wizerunki swych małżonek, dekorował nimi liczne rezydencje, ale też przekazywał je swoim krewnym i powinowatym. Wprawdzie z wyposażenia białostockiego pałacu nie zachowało się prawie nic, ale badacze mają do dyspozycji inwentarze, będące dowodem jego bogatego wyposażenia.

Od 1726 roku przez wiele lat budynek ulegał metamorfozie. Kasztelan krakowski, hetman wielki koronny i późniejszy kandydat na tron Rzeczypospolitej, zdecydował o jego podwyższeniu. Rezydencja zyskała tympanon i boczne skrzydła, które upodobniły ją do luksusowych rezydencji, położonych entre cour et jardin – między dziedzińcem i ogrodem. Do pałacu przez ozdobną bramę z zegarem i posągami

czeń. Były tu pokoje luksusowe i bardzo reprezentacyjne: sypialnia z „chińskim” przedpoiskiem, białe szagrynowe (z delikatnej skóry) obicia, zdobione „chińskimi” kwiatami. Apartamenty zwane królewskimi znajdowały się na piętrze obok biblioteki, kaplicy, sali balowej, jadalni oraz „złotych”, „chińskich”. Hetman i jego małżonka – Pani Krakowska – zajmowali pokoje na parterze, oddzielone od siebie westybulem. Prócz apartamentów hetmanostwa były tu inne pokoje – „paradne”, „paryskie”, „łazienkowe”. O randze pałacu świadczyły wspańnię, zamawiane u różnych modnych ebenistów meble, freski, złożone sztukaterie, dzieła sztuki, posągi i cenne drobiazgi. Ściany zdobił karmazynowy jedwab, apartamenty wypełniały zamawiane z Paryżu meble, marmurowe kominki i tzw. saskie piece, złożone ze skrzyni i nastawy, wreszcie obrazy w bogatych snycerskich ramach. Wyposażenia dopełniały marmurowe lub dębowe posadzki. Bywali tu europejscy władcy, a wśród nich August II Mocny, August III Sas, Stanisław August Poniatowski, car Paweł I i cesarz Józef II.

Suchy inwentarzowy opis może nam dać tylko ogólne wyobrażenie o pałacu. O luksusie i jakości wykonania może świadczyć jeden z zachowanych sprzętów, mebel uważany za jeden z dwunastu najpiękniejszych na świecie: znana z inwentarza warszawskiego pałacu Branickich szafka narożna. Wykonał ją na zamówienie hetmana francuski mistrz Jacques Dubois według projektu Nicolasa Pineau. Szafka [Fot. 2] wprawdzie nie była przeznaczona do rezydencji białostockiej, ale może dać nam pojęcie o luksusie, jakim otaczał się hetman w każdej ze swych rezydencji. Na realizację zamówienia magnat czekał osiem lat. Po śmierci obojga Branickich drogą sukcesji szafka trafiła do rąk spadkobierców, ci zaś sprzedali ją baronowi Rotszyldowi; ozdobiła jego wiedeńską rezydencję do chwili konfiskaty przez nazistów. Zwrócona Rotszyldom po II wojnie światowej została sprzedana i ostatecznie trafiła do zbiorów Muzeum J. P. Getty’ego. Wykonana z białego dębu i mahoni, zdobiona rokokowymi aplikacjami ze złoczonego brązu i zwieńczona zegarem, przyciągała uwagę licznych kolekcjonerów, w tym barona Rotszylda, nazistów, którzy ukryli mebel w kopalni saudyjskiego miliardera. Wreszcie został kupiony na aukcji przez Johna Paula Getty’ego i dziś jest ozdobą tego muzeum. A nam, maluczkim, pozostały wyobrażenia o niegdysiejszej wspaniałości Podlaskiego Wersalu. I o naszym rozproszonym dziedzictwie.

czterech geniuszy, wiódł avant cour dziedzińca wstępnego i bliższy frontowi dziedzińca parady – cour d'honneur. Bramę zbudował w 1758 roku Jan Henryk Klemm – oficer regimentu pieszego buławy wielkiej koronnej, jeden z nadwornych architektów hetmana. Oba dziedzińce dzielił niski mur z prześwitem, strzeżonym przez dwie monumentalne rzeźby dłuta Jana Chryzostoma Redlera – „Herkulesa walczącego ze smokiem” i „Herkulesa walczącego z hydrą”.

Białostocki pałac, łącznie z oficynami i pawilonami, zawierał blisko 180 pomiesz-

Szafka narożna Jana Klemensa Branickiego do jego pałacu w Warszawie, obecnie w zbiorach J. Paul Getty Museum

Fot. Dzięki uprzejmości J. Paul Getty





Agnieszka Iwaniuk
Kancelaria Prawno-Patentowa



Kancelaria prawna z ponad 10-letnim doświadczeniem w obsłudze klientów biznesowych oraz indywidualnych. Specjalizuje się w prawie własności intelektualnej, w tym prawie własności przemysłowej i prawie autorskim. Wspomaga autorów w zakresie zabezpieczenia ich przed naruszeniami praw twórcy. Oferuje również doradztwo dla artystów, aby nie narazili się na naruszenie praw osób trzecich.

Właścicielka kancelarii, Agnieszka Iwaniuk, posiada tytuł radcy prawnego oraz rzecznika patentowego. Jest ekspertem w dziedzinie prawa własności przemysłowej, prawa konkurencji oraz prawa autorskiego. Pełni funkcję Dziekana Okręgu Podlaskiego Polskiej Izby Rzeczników Patentowych oraz Sekretarza Krajowej Rady Rzeczników Patentowych. Angażuje się w działalność społeczną. Jest Sekretarzem Międzynarodowej Kapituły Medalu Serce Ziemi oraz Prezesem Stowarzyszenia na rzecz Własności Intelektualnej.



KONTAKT

UL. SKŁADOWA 7, LOK. 101
15-399 BIAŁYSTOK
TEL. +48 695 250 095
biuro@kancelaria-iwaniuk.pl



Pałac Branickich,
elewacja wejściowa
fot. Michał Kość

SZEPTY PRZESZŁOŚCI

O SZTUCE, KTÓREJ PIĘKNO NIE PRZEMIJA

Kamila
Mistarz

*Studentka historii sztuki
z kognitywistyką na
University of Sussex.
Początkująca krytyk sztuki,
autorka bloga Heart of Art,
szukająca znaczenia sztuki
w życiu człowieka.*

Pewne rzeczy w życiu z czasem stają się automatyczne i oczywiste, swą nieistotnością niezasługujące na zapisanie w pamięci. I tak jak nie pamiętam czy zamknęłam dzisiaj drzwi pośpiesznie biegnąc na autobus, tak nie mam pojęcia kiedy znalazłam się na dziedzińcu Pałacu Branickich. Nie było to jednak aż tak zaskakujące, jak mogłoby się wydawać. Nogi zawsze same kierują się w jego stronę podczas wszelakiego rodzaju przechadzek, kiedy szukają odrobiny piękna w drodze na skróty, bo większość białostockich ścieżek przecina się właśnie w tym miejscu. Wszystko dzieje się tutaj albo w okolicy, odbywają się targi, koncerty, festiwale. Tu chodzi się na spacer z dziećmi, latem je się lody, a w zabytkowych salach szkolili się przyszłych medyków. Dla nas, mieszkańców Białegostoku, to miejsce stanowi część codzienności. Nie jest niczym wyjątkowym.

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz tu przyszedłam. To nie jest jeden z tych zabytków, na których zobaczenie czekałam z niecierpliwością, a na wspomnienie wyjątkowego spotkania czuję ciarki przechodzące po plecach.

Nie. Pałac Branickich to mój życzliwy znajomy. Stary przyjaciel z dzieciństwa, który z wielką cierpliwością przyglądał się moim beztroskim zabawom w swoich roślinnych labiryntach i znosił radosne krzyki. Słuchał skrawków rozmów o marzeniach, widział pocałunki, gorzkie łzy, wstępował w szkolnym filmie. Z pewnością też pamięta zapach pizzy, którą jedliśmy w jego ogrodach i doświadczył naszych nocnych śpiewów dochodzących z imprezy w pobliskich Herkulesach. Tak jak wieża Eiffela dla Paryżan jest tylko wieżą, tak Pałac Branickich dla mnie jest tylko pałacem, częścią codzienności, punktem odniesienia. Czymś zupełnie normalnym.

Dlatego zdziwiłam się, kiedy tym razem przechodząc przez bramę Gryfową, poczułam się dziwnie inaczej. Z zamyślenia otrząsnęły mnie nagle promienie ciepłego słońca przedwiośnia, rozświetlające kremowe mury wdzięcznej budowli. Na chwilę straciłam wzrok. Miałam wrażenie, że budzę się do snu i słysząc pomruki z przeszłości w tej ulotnej chwili ciszy, przechodzę z jednej rzeczywisto-

ści w inną. Pałac – on szeptał do mnie. Chciał, żebym go posłuchała, tak jak on zawsze słuchał mnie. Mówił cicho, co chwila z niemałym wysiłkiem łapiąc oddech, jak starszy człowiek próbujący ująć w słowa zawiłą historię własnego życia. „Musisz coś zrozumieć” – słyszałam. „Zatrzymaj się. Zachwyć. Posłuchaj.”

Przestrzeń, której doświadczamy na co dzień, nie funkcjonuje w jednej przestrzeni czasowej. Choć nigdy nic nie zdarza się dwa razy, przeszłość przeplata się z teraźniejszością, a sztuka, czy to w formie obrazu, rzeźby, czy budowli, jest nośnikiem historii, które uykają nam w coraz to szybciej pędzącej codzienności. Dopuściłam do siebie myśl, że słyszę szepty Pałacu. W tamtym momencie świat stanął w miejscu, a ja trwałam gdzieś pomiędzy tym, co było, a tym, co być może nadejdzie, na rezydencję Branickich patrząc jednak z perspektywy świata chwili obecnej. Przed oczami błyskały mi migawki zdarzeń, a fakty łączyły się w całość, kiedy w końcu udało mi się spojrzeć na wszystko na świeżo, od nowa.

Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę odgłos kopyt, odbijający się od ścian wypełnionego dziś samochodami dziedzińca. Choć wewnątrz rozbrzmiewa teraz gwar studentów medycyny, do moich uszu dochodzą słodkie dźwięki fortepianu – jednego z siedmiu należących do Bacha – który Klemens Branicki w prezencie podarował młodej Izabeli. Niemogę przestać się zastanawiać czy ona też, będąc w moim wieku, patrzyła na ogrodowe rzeźby uroczych kupidynów i greckich bogów z tym



*Park pałacowy,
fot. Michał Kość*

samym radosnym zdumieniem. Czy jest szansa, że spojrzaliśmy kiedyś w to samo miejsce? Na pyszczek psa Ateny, winogrono w ustach kupidyna?

Na pewno ktoś jeszcze kiedyś musiał się uśmiechnąć pod nosem na widok powoli rozwijających się w ogrodach kwiatów, czy w zadumie podnieść wzrok w górę, na piękną fasadę. Stamtąd patrzy na mnie Herkules, jako Atlas podtrzymujący Ziemię, kopia oryginału, który choć stoi obecnie na dziedzińcu, jeszcze w przedwojennych czasach królował nad budynkiem. Trochę boję się, że kula, którą trzyma, spadnie kiedyś z hukiem na ziemię. Ale przechodzi mnie większy dreszcz, kiedy słyszę cichy płacz ścian dawnego „Wersalu Północy”, który z bombardowań II Wojny Światowej wyszedł niemal kompletnie zniszczony.



*Pałac Branickich,
rzeźby w alei parkowej
fot. Michał Kość*



*Pałac Branickich,
rzeźby w westybulu,
fot. Michał Kość*

A ludzie? Chodzą sobie. Z dziećmi, za rękę, z gorącą kawą w dłoni. Stawiają kroki powolnie lub w pośpiechu w miejscach przepętnionych już opowieściami, swoją obecnością dodając swoje własne, nowe. Obserwuję ich siedząc na kamiennej tawcy. Czy tym wszystkim przypadkowym spacerowiczom zdarza się czasem myśleć o takich rzeczach? O całej masie historii, które działy się tutaj, nawet jeszcze nie tak dawno temu?

Weszły mi w nawyk rozmowy z naszym pocziwym Pałacem. Uświadomił mi, jak często nie doceniałam jego wartości, biorąc go za oczywisty pewnik dnia powszedniego. Teraz każde spotkanie zamienia się w długą konwersację, która choć trwa niewiele dłużej niż mój regularny spacer, zdaje się ciągnąć bez końca. Zawsze kiedy na niego patrzę, nachodzi mnie jedna myśl, za każdym razem ta sama. Ciągłe czuję wielką ekscytację i zachwyt, które mieszają się z niedowierzaniem, a w głowie echem odbija się ciche „niemożliwe”.

To, co teraz widzę, zostało stworzone tak dawno temu, w czasach kiedy ludzie nie mieli nowoczesnych technologii i zdecydowanie mniej wiedzieli o świecie. Potrafili jednak

stworzyć coś, co stało się dziełem kanonicznym, zabytkiem, historyczną perłą regionu. Coś, co w XXI wieku, po tylu latach doświadczeń, wojennych zniszczeniach i renowacjach, wzbudza podziw mniej lub bardziej przypadkowych przechodniów. I oczami mojej wyobraźni widzę, jak Jan Redler przejeżdża ręką po kamiennych ciałach Apolla, Adonisa czy Wenus górujących w pałacowych ogrodach. Jak cały zespół architektów i budowniczych z wielką dokładnością, powoli formuje kształt wyniosłej budowli, nadając jej barokowego wdzięku, wplatając rytm w kolumnady. Jak nieznany artysta delikatnym ruchem pędzla nadaje wdzięku zewnętrznym freskom. I pomyśleć, że widzę teraz to, co oni widzieli tyle lat temu. Niesamowite. Być tak blisko historii.

I stoi taka Kama. Przed Pałacem. I patrzy na dzieło nie do opisanie, potężne i delikatne jednocześnie. Nie pierwszy raz je przecież widzi, a oczy jej się szklą, jest bliska płaczu. Smutek? Nie. To wzruszenie nad pięknem form i historii, których jej umysł nie jest w stanie pojąć.



CERKIEW ZWIASTOWANIA PRZENAJŚWIĘTSZEJ BOGURODZICY W SUPRAŚLU JAKO SPENGLEROWSKI OBRAZ BIAŁORUSKIEJ DUSZY.

Cerkiew Zwiastowania
Bogurodzicy w Supraślu
fot. Joanna Pyka

Wielki niemiecki historyk Oswald Spengler, autor słynnego „Zmierzchu Zachodu” doszedł do wniosku, że dzieje powszechne stanowią panoramę ośmiu „wielkich kultur” (Hochkulturen, Hohe Kulturen). Należą do nich nieistniejące już kultury: babilońska, egipska, starożytna (antyczna, grecko-rzymska) i meksykańska oraz wciąż istniejące: chińska, hinduska, arabska i zachodnia (zachodnioeuropejsko-amerykańska). Doboru tych kultur autor dokonał w sposób arbitralny, nie precyzując zastosowanych kryteriów. Zauważył także rodzącą się dziewiątą wielką kulturę – rosyjską, która miała rozkwitnąć dopiero w III tysiącleciu. Współczesnych sobie Rosjan Spengler nie uważał za naród taki jak naród niemiecki czy angielski; jego zdaniem zawierali w sobie możliwości wielu przyszłych narodów, niczym Germanie z czasów Karolingów. Jednym z takich narodów mogli być Białorusini.

Wielkie kultury według niemieckiego filozofa nie pozostają w żadnym związku między sobą, są wzajemnie nieprzenikliwe, a przeniesienie jakiegokolwiek kultury w inny świat kulturowy jest niemożliwe. Wykluczał przy tym nie tylko możliwość kontaktów między wielkimi kulturami, lecz zaprzeczał także nawet możliwości poznania i zrozumienia obcych kultur: każda z nich przedstawiała mu się jako zamknięta wobec wszystkich innych, a rozumiała w pełni tylko dla własnych członków. Również nauki nie uważał za własność całej ludzkości; jego zdaniem każda wielka kultura wykształciła własny rodzaj poznania naukowego. Porównując teorie atomowe cywilizacji antycznej i zachodniej uznał, że między fizyką starożytną i zachodnioeuropejską zachodzi głębokie przeciwieństwo – antyczne atomy są miniaturowymi formami, natomiast zachodnie – minimalnymi kwantami energii. Prowadziło

■
Oleg
Łatyszonek

Dr hab., profesor Uniwersytetu w Białymstoku na Wydziale Historii i Stosunków Międzynarodowych. Prezes Białoruskiego Towarzystwa Historycznego. Zajmuje się historią Białorusi, Ukrainy i Rosji, geopolityką i cywilizacją Europy Wschodniej oraz dziejami Białorusinów w Polsce.



Ruiny cerkwi św. Ławrentija (św. Larsa) w Visby

go to do wniosku, że każda teoria atomowa nie jest doświadczeniem, lecz mitem, w którym kultura objawia swą najszybszą istotę, swoje prawdziwe „ja”.

Niezwykle ważnym spenglerowskim pojęciem, zwłaszcza dla historii cywilizacji Europy Wschodniej, jest „historyczna pseudomorfoza”. Mianem tym, zaczerpniętym z mineralogii, uczonego określa takie przypadki, gdy jakaś obca stara kultura tak przemożnie ciąży nad kulturą młodą, że ta nie tylko nie może wytworzyć własnych form wyrazu, lecz nawet rozwinąć w pełni swojej samoświadomości. Wczesna duchowość młodej kultury, wtłoczona w puste obce formy wyradza się, czemu towarzyszy nienawiść do obcej potęgi. Ofiarą historycznej pseudomorfozy miały paść przede wszystkim kultura arabska i rosyjska.

Każda z wielkich kultur miała być wyrazem odpowiedniej duszy. Kulturze antycznej uczonego przypisał duszę „apollinijską”, kulturze zachodnioeuropejskiej – „faustowską”, arabskiej zaś – „magiczną”. Dla dusz innych kultur osobnych nazw nie wymyślił. Każdą z tych dusz wyra-

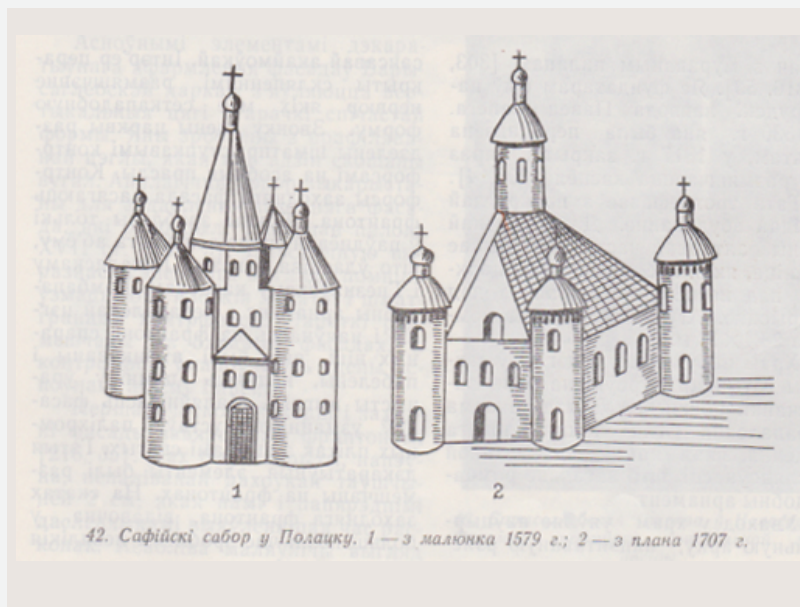
ża odpowiedni pra-symbol, odwołujący się do typu rozciągłości rozpościerającego się przed nią świata. Pra-symbol duszy apollinijskiej to według niego odczuwane zmysłowo pojedyncze ciało, faustowskiej zaś – czysta bezgraniczna przestrzeń. Dla duszy magicznej charakterystyczne jest poczucie jaskini, a ściślej – rozciągłości jaskiniowej. Magiczna przestrzeń spenglerowskiej „jaskini świata” jest wyrazem pra-dualizmu: światłości i ciemności, dobra i zła, Boga i szatana, i wreszcie ducha i duszy.

Prawosławie niemiecki historyk uważał za religię magiczną i rezultat pseudomorfozy kultury arabskiej poddanej presji hellenizacji. Spengler uważał się za odkrywcę kultury arabskiej, i nie bez racji. Termin „kultura arabska” traktował jako roboczy i używał go z braku lepszego. Rzecz w tym, że jego zdaniem wczesny okres tej kultury nie był arabski i od jej najważniejszego języka nazwał go „aramejskim”. Okres ten obejmował pierwsze półtysiąclecie naszej ery. Kultura arabska to nazwa okresu rozkwitu tej kultury, którą czysto technicznie można by chyba nazwać bliskowschodnią, gdyż obejmowała zdaniem uczonego obszar, który wyznaczył w następujący sposób: jeśli patrzeć z Palmyry lub Ktezyfonu, to najbardziej na północ leżało Bizancjum, które Spengler najwyraźniej zaliczał do „aramejskiego” kręgu kulturowego. Na północy leżało królestwo Osroene, którego stolica Edessa stała się Florencją wczesnego okresu arabskiego. Na zachodzie leżały Syria i Palestyna, gdzie powstał Nowy Testament i żydowska Miszna; zachodnią forpocztą tej kultury była Aleksandria. Na wschodzie leżało państwo Sasanidów, w którym pojawił się manicheizm i mazdaizm. Tutaj powstał też Talmud. I wreszcie na południu, w przyszłej ojczyźnie islamu, trwał okres rycerski. Wielka kultura aramejsko-arabska rodziła się z trudem, bo w swoim „historycznym pra-czasie” leżała całkowicie w zasięgu starego świata babilońskiego, a później popadła pod przemożny wpływ w pełni dojrzałej cywilizacji antycznej. Dopiero islam wniósł do tego świata świadomość jedności, co tłumaczy oczywistość jego zwycięstw. Na czym według Spenglera polega oczywistość tryumfu islamu? Na opisanym powyżej terytorium rodziła się religia magiczna, której wyrazem były wszystkie wspomniane powyżej religie. Ostatecznie zatryumfowało chrześcijaństwo. W ujęciu niemieckiego badacza chrześcijaństwo „zachodnie”, za które uważa chrześcijaństwo bizantyńskie, uległo procesowi pseudomorfozy, wchodząc w formy religii pogańskiej. Przeciwwstawiał mu chrześcijaństwo

„wschodnie”, perskie, czyli nestorianizm i chrześcijaństwo „południowe”, syryjsko-egipskie, czyli monofizytyzm. Niemniej jednak wspólny kod religii magicznej spowodował, że na całym terytorium występowania tej religii przyjęto islam jako jej zwieńczenie. Stąd też Spengler uznał, że islam „przekształcając bazylikę Hagia Sophia w meczet, odzyskał jedynie starą własność”.

Spengler traktował architekturę jako obraz duszy danej wyższej kultury. Zdaniem niemieckiego filozofa zachodnie katedry są przejawem nieskrępowanej faustowskiej woli, „wyrrywającym się ku niebu chceniem”, czemu przeciwstawia obsadzoną kopułami płaszczyznę dachów kościołów rosyjskich.

Rzeczywiście, na Rusi wraz z przyjęciem chrześcijaństwa z Konstantynopola przyjęła się krzyżowo-kopułowa forma cerkwi, wytworzona w Bizancjum w IX w. Niczego oryginalnego na ówczesnej Rusi nie zbudowano. Niemniej jednak w XII w. pojawił się na całej Rusi nowy typ cerkwi z podwyższonymi i podpartymi łukami. Nowe rozwiązanie architektoniczne umożliwiło wprowadzenie ozdobnego, stopniowego zakończenia górnych partii świątyń i nadawało im bardziej wertykalny charakter. Pierwszą cerkwią nowego typu była cerkiew Przemienienia Pańskiego (Spaska), wzniesiona w Połocku przez mistrza Joana na zamówienie św. Eufrozyny Połockiej około 1130 r. Nowy styl pojawił się od razu gotowy, podobnie jak zdaniem Spenglera pojawił się styl romański na Zachodzie. W cerkwi Spaso-Eufrozyńskiej, chociaż mury w technice przejętej z architektury bizantyńskiej, wszystko służy podkreśleniu struktur wertykalnych, poczynając od filarów podtrzymujących kopułę. Okna w bębnie leżą tak wysoko, że nie oświetlają wnętrza cerkwi. Według rosyjskiego archeologa Jewgienija Torszina, kierującego wykopaliskami na terenie cerkwi Spaso-Eufrozyńskiej, w znaczeniu symbolicznym zbudowana przez Św. Eufrozinę cerkiew jest strzałą skierowaną w niebo. Tym samym stanowi przeciwieństwo architektury bizantyńskiej, dla której podstawowym zadaniem jest organizacja wnętrza świątyni



42. Софійскі сабор у Полацку. 1 — з малюнка 1579 г.; 2 — з плана 1707 г.

i jest wręcz zaprzeczeniem spenglerowskiej jaskini religii magicznej. Oryginalność świątyni podkreśla program ideowy pokrywających jej ściany fresków, przedstawiających wizerunki świętych pisarzy. Jest to bez wątpienia autorski program św. Eufrozyny Połockiej, znanej z zamiłowania do ksiąg i korespondencji z największymi ruskimi teologami epoki, Klimem Smolatyчем i Cyrylem Turowskim. Ponieważ świątynia wzniesiona przez św. Eufrozinę nie ma wcześniejszych analogów, można uznać, że nie tylko program wnętrza, lecz także całe założenie architektoniczne jest dziełem patronki Białej Rusi.

Cerkiew Przemienienia Pańskiego i Św. Eufrozyny w Połocku zapoczątkowała budowę wertykalnych cerkwi na Rusi; następnie wzniesiono w Smoleńsku i Nowogrodzie. Jeśli przyjmiemy, że z wertykalnych cerkwi-wież rozwinął się właściwy styl rosyjski, to cerkiew Spaso-Eufrozyńska w Połocku wyznacza początek drogi prowadzącej do soboru Bazylego



Sobór Św. Sofii w Połocku. 1 - z rysunku 1579 r.; 2 - z planu 1707 r.

Model białoruskiej świątyni XVI w.

Widok soboru Wasyla Błogostawionego i wieży Spaskiej, G. Quarenghi 1797 r.





Wnętrze soboru św. Sofii
w Konstantynopolu

Błogostawionego w Moskwie. Skąd się wzięła ta oryginalna, niebizantyńska architektura raska? Intuicja podpowiada wpływy zachodnie, lecz nie ma na to żadnych dowodów. Może więc rzecz nie w bezpośrednim zapożyczeniu idei, a w narodzinach nowej wielkiej kultury? Skoro styl romański na Zachodzie pojawił się według Spenglera gotowy niejako od razu, to na Rusi na tym samym etapie rozwoju pojawia się gotowa niejako od razu architektura wertykalna. Brak bezpośrednich zapożyczeń z Zachodu tylko podkreśla duchowe podobieństwo ruskiej i zachodniej architektury sakralnej, przejawiające się w strukturach wertykalnych, a przeciwstawiające je obie bizantyńskiej świątyni jako magicznej jaskini.

Wnętrze soboru św. Sofii
w Konstantynopolu

Według Spenglera „z pewnością mia-

sta hanzeatyckie w swych północnoruskich placówkach handlowych szerzyły styl gotycki, a Hiszpanie w Ameryce Południowej styl barokowy, jest jednak wykluczone, by najmniejszy fragment historii stylu gotyckiego rozwijał się poza obrębem zachodniej Europy”. Jak się wydaje, myślicielowi chodzi przede wszystkim o to, że formy gotyckie na terytorium Europy Wschodniej mogły być tylko przeniesione, lecz nie twórczo rozwijane. Przypadek gotyku na Białorusi jawi się w tym kontekście jako szczególny.

W II połowie XIII w. na całym terytorium Białorusi pojawiają się w architekturze elementy romańskie i gotyckie: sklepienia krzyżowe, profilowana cegła (kształtki) i watek „wendyjski” w wiązaniu cegły. Połock, wyznaniem związany z Konstantynopolem, ekonomicznie związany był ze światem hanzeatyckim, co dawało niezwykle wyniki w dziedzinie kultury. Przykładem tego jest cerkiew św. Ławrentija, wzniesiona pod koniec XIII w. przez kolonię połockich kupców w Visby na Gotlandii jako budowla krzyżowo-kopułowa, lecz z zastosowaniem miejscowych technik murarskich. Do dzisiaj zachowały się w Visby ruiny tej cerkwi, przemianowanej na kościół św. Larsa. W XIV w. wznoszono już cerkwie bez wątpienia gotyckie: w Grodnie, Nowogródku i trzy w Wilnie. Po przyjęciu katolicyzmu przez wielkiego księcia litewskiego Jagiełłę rozpoczęła się budowa na Białorusi gotyckich koś-



ciołów, które jednak niczego nowego do historii architektury nie wносиły.

Na początku XVI w. pojawiają się na Białorusi gotyckie cerkwie obronne z wieżami w narożnikach budynku. W literaturze polskiej można spotkać stwierdzenie, że powstały one pod wpływem architektury polskiej. Jednakże za pierwszą z nich uchodzi przebudowany w nowym stylu na przełomie XV i XVI w. sobór Św. Sofii w Połocku, ściśle powiązany z bałtyckimi krajami niemieckimi, nie z ziemiami polskimi. Badania archeologiczne połockiej cerkwi nie potwierdziły istnienia wież, lecz zachowane wizerunki z epoki nie pozostawiają wątpliwości co do jej ówczesnego wyglądu: ukazywana jest z czterema wieżami w narożnikach, a całość kompozycji wieńczy wieżopodobna kopuła.

Szczytowe osiągnięcie białoruskiego gotyku stanowi cerkiew Zwiastowania Przenajświętszej Bogurodzicy w Supraślu, która uchodzi za dzieło architektury gotycko-bizantyńskiej z wpływami renesansowymi. Dopatrywano się w tym celowej syntezy bizantyńsko-łacińskiej, co miało być wyrazem poparcia fundatorów cerkwi, Aleksandra Chodkiewicza i biskupa Józefa Sołtana, dla planów wielkiego księcia litewskiego Aleksandra przeprowadzenia unii religijnej zgodnie z unią florencką, chociaż plany te nigdy się nie skonkretyzowały. Ponadto najnowsze badania pozwalają datować fundację monasteru na okres, kiedy te plany były już nieaktualne. Architektoniczne założenie cerkwi, zbudowanej między 1510 a 1514 r., jest bizantyńskie, gdyż jest to świątynia kopułowa na planie krzyża. Jednakże nie jest to jaskinia religii magicznej, jak w wypadku cerkwi bizantyńskiej, bo cerkiew supraską cechuje wertykalność i wielokopułowość. Jeśli w ślad za Spenglerem uznamy, że w warstwie symbolicznej najważniejsza jest linia dachu, pięciokopułowa cerkiew supraska jest budowlą absolutnie ruską.

Chociaż cerkwie takie jak supraska uchodzą za cerkwie obronne, jak dotąd nikt nie zdołał przekonująco wytłumaczyć, obronie przeciwko komu miałyby służyć. Wskazuje się na niebezpieczeństwo tatarskie, lecz wszystkie białoruskie cerkwie inkastelowane genetycznie pochodzą od cerkwi połockiej, a w Połocku nigdy Tatarów nie widziano. Jak się wydaje, interpretację architektury tych cerkwi lepiej przenieść z warstwy realistycznej na symboliczną. W tej warstwie „obronny” charakter cerkwi supraskiej tłumaczono jej położeniem na peryferiach świata prawosławnego, na styku z katolicyzmem. „Obronność” takiej cerkwi miałyby więc mieć wymiar prze-

de wszystkim duchowy, tylko podkreślony przez inkastelowanie. Jednakże pierwszą cerkwią tego typu była przebudowana Św. Sofia w Połocku, gdzie to raczej od katolików należałoby oczekiwać wzniesienia „obronnego” kościoła. Jeśli jednak założyć, że mimo obcych form architektura Białorusi wciąż jest obrazem białoruskiej ruskiej duszy, to wertykalna cerkiew „obronna” przekształca się w zespół cerkwi wieżopodobnych. Zespołem właśnie takich cerkwi-wież jest sobór Bazylego Błogosławionego w Moskwie. W takiej interpretacji wieże cerkwi białoruskich nie mają charakteru obronnego, lecz imitują cerkwie-wieże. Cerkwi podobnych do supraskiej musiało być na Białorusi więcej, o czym świadczy przywieziona w XVI w. z Białorusi do Pskowa figura Św. Mikołaja trzymającego w ręku model „obronnej” cerkwi. Model ten przedstawia, moim zdaniem, ideał białoruskiej świątyni.

Czyż nie o ty samym pisze Spengler, kiedy stwierdza, że architektura kopuły centralnej, w której osiągnęło swój najczystszy wyraz magiczne poczucie świata, za panowania Justyniana w Bizancjum i Rawennie stopiła się z bazyliką w budowlę bazyliki kopułowej. Czysta bazylika została wyparta na germański Zachód, gdzie przekształciła się w katedrę. Bazylika kopułowa rozpowszechniła się na Rusi, gdzie „pomału zaczęto ją znowu odbierać jako budowlę zewnętrzną z formą dachu jako punktem ciężkości symboliki”. Niestety, Spengler nie kontynuuje tego wątku, stąd nie wiadomo, jak tę symbolikę odczytuje.

Jeśli Spengler się nie myli i formą dachu jako punktem ciężkości symboliki ruskiej cerkwi, to bez wątpienia dla kultury moskiewskiej jest nią cerkiew z wyciągniętym dachem namiotowym, lecz jest to temat zasługujący na osobną uwagę. Dla kultury ogólnoruskiej ważniejsza jest wielokopułowa budowla z niezliczoną czasem ilością cebulastych kopuł, symbolizująca ognisko, którego płomienie strzeliły w niebo. Ogień z kolei służy za symbol wzlotu chrześcijańskiej duszy ku niebu. Tak więc wertykalna cerkiew ruska nie jest bizantyńską jaskinią religii magicznej. Odczytana przez architekturę ruska dusza okazuje się wiele bliższa zachodniej duszy faustowskiej. Jeśli tej pra-symbolem tej ostatniej jest czysta bezgraniczna przestrzeń, to pra-symbolem duszy ruskiej jest wzlot ku niebu, w Kosmos.

Podsumowując, wertykalna pięciokopułowa gotycka cerkiew Zwiastowania Przenajświętszej Bogurodzicy w Supraślu w warstwie symbolicznej jest zaklętym w kamień płomieniem białoruskiej wiary.



Wizerunek cerkwi w Supraślu przerysowany z ikony 1644 r.



NOWA NORMALNOŚĆ BIAŁOSTOCKIEJ KULTURY

Maciej Białous

*Instytut Socjologii
Uniwersytetu w Białymstoku
Fundacja SocLab*

Minął już przeszło rok, odkąd ograniczenia związane z pandemią zaczęły gruntownie zmieniać nasze praktyki uczestnictwa w kulturze. Wydaje się, że to dobry moment, żeby zastanowić się nad istotą tych zmian oraz możliwymi scenariuszami na przyszłość. Zarówno w kontekście ogólnym, jak i bardzo konkretnym, białostockim. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy zdążyliśmy oswoić się z zapowiedziami „nowej normalności”, czyli specjalnych zasad organizacji życia, które mają trwać do zakończenia pandemii, a w części przypadków z pewnością również po niej. Jak może wyglądać „nowa normalność” lokalnej kultury? Jak sprawić, żeby była ona dla mieszkańców jak najbardziej przyjazna i wartościowa?

Myśląc o wpływie pandemii na życie kulturalne, w pierwszej kolejności do głowy przychodzi czasowe zamknięcie fizycznych przestrzeni instytucji kultury lub konieczność ich samoograniczania się w ramach tak zwanego reżimu sanitarnego. Dynamika kolejnych fal zachorowań i wynikająca z niej płynność ograniczeń bardzo utrudnia też planowanie przyszłych wydarzeń. Niektóre instytucje przeniosły jak największą część swojej oferty do przestrzeni wirtualnych, co może mieć swoje zalety – na przykład można w ten sposób próbować pozyskania nowych odbiorców – ale ma też oczywiste wady. Ciekawym przykładem z Białegostoku jest organizacja festiwalu filmowego Żubroffka, od kilkunastu lat jednego

z najciekawszych i najważniejszych wydarzeń kulturalnych w naszym mieście. Podczas gdy wiele festiwali filmowych w Polsce i na świecie w 2020 roku naprędce dostosowywało swoje formuły do trybu zdalnego, organizatorzy Żubroffki zdecydowali się przenieść wydarzenie na czerwiec 2021 roku, w oficjalnym oświadczeniu pisząc, między innymi, że nie wierzą, aby pokazy on-line mogły w jakimkolwiek stopniu zastąpić autentyczne emocje, odczuwane podczas projekcji w kinie oraz dyskusji w kuluarach. Podkreślam ten argument, albowiem pokazuje on hierarchię wartości organizatorów. Wspólnota uczestnictwa, możliwość spotkania z drugim człowiekiem stawiane są wyżej od samotnej konsumpcji kultury zza ekranu komputera. Kwestia, czy uda się zrealizować te wartości latem 2021 roku wciąż jednak pozostaje otwarta. Sytuacja organizatorów oferty kulturalnej, między innymi ekipy Żubroffki, siedzących na rozpędzonej karuzeli obostrzeń i przepisów jest nie do pozazdroszczenia.

Wielki wpływ na nasze praktyki kulturowe miało jednak nie tylko ograniczenie działalności instytucji kultury. Jeśli zgodzimy się, że istotnym elementem życia kulturalnego jest wspólnota doświadczeń, możliwość spotykania się z innymi ludźmi, rozmowy, aktywności, to potężnym ciosem było również zamknięcie lokali gastronomicznych, obiektów sportowych, placów zabaw, czy wręcz – jak wiosną

*Opustoszały Rynek
Kościuszki w czasie lockdownu
https://commons.wikimedia.org/wiki/File:20200509_183137_Rynek_Ko%C5%9Bciuszki_in_Bia%C5%82ystok_May_2020.jpg*

2020 roku – znaczne ograniczenie możliwości swobodnego poruszania się po mieście. Oczywiście, w ciągu ostatnich miesięcy wielu z nas mogło szukać kontaktu z kulturą w Internecie, szczególnie w okresie monotonii pierwszego, wiosennego zamknięcia. Należy jednak pamiętać, że dostęp do kultury przez Internet rozkłada się nierównomiernie. Lockdown wykluczył tych, którzy z różnych powodów nie korzystają biegle z nowoczesnych technologii. Innych natomiast przytłoczył przesyt. Szybko osiągnięty stan nadprodukcji wydarzeń w przestrzeniach wirtualnych, dla wielu odbiorców, zmęczonych zdalną pracą lub nauką, stał się narastającym białym szumem treści, z których wcale nie chcieliśmy wybierać. Po drugiej stronie internetowych łączy byli natomiast twórcy, sami często niezbyt zachwyceni taką formą działań, które pozostawały jednak jedyną możliwością pracy, zarówno dla instytucji kultury jak i indywidualnych artystów czy animatorów.

Prawdopodobne. Podobnie może zmienić się układ sił na mapie kultury w mieście takim jak Białystok. Niewykluczone, że tutaj również przetrwają najmocniejsi (najbogatsi, najlepiej wyposażeni, dobrze przygotowani do komunikacji w Internecie), a słabsi – na przykład część organizacji pozarządowych, których bardzo cenne działania opierają się na grantach projektowych i możliwościach współpracy z instytucjami – wypadną na margines lokalnego pola kultury. Niektóre z nich z pewnością na zawsze.

Rok eksperymentowania z wydarzeniami zdalnymi, hybrydowymi, kameralnymi działaniami w reżimie sanitarnym, czy nawet próbami naginania obowiązujących przepisów w imię animowania kultury pokazały też wyraźnie, że niektóre kategorie oferty kulturalnej łatwiej niż inne dają się przystosować do „nowej normalności”, a nawet mogą zyskać w niej drugie życie. Spotkania autorskie czy debaty poddają się wymogom nowych mediów o wiele łatwiej niż na przykład sztuki teatral-



*Pusta sala Kina Forum
[https://commons.
wikimedia.org/wiki/
File:Kino_Forum_
Bia%C5%82ystok.jpg](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Kino_Forum_Bia%C5%82ystok.jpg)*

Okazało się, że przy nadpodaży rozmaitych wydarzeń on-line, w dłuższej perspektywie uwagę uczestników kultury utrzymują ci, którzy umieją się wyróżniać. Instytucje, które mogą pochwalić się wysoką jakością treści, sprawną komunikacją w mediach społecznościowych, nowoczesnym wyglądem stron internetowych i takie, które najlepiej odpowiadają na potrzeby uczestników kultury. Czy w dłuższej perspektywie sprawi to, że mniejsze, kameralne lub prowincjonalne ośrodki kultury pogrążą się w kryzysie i marazmie? To

nie czy warsztaty plastyczne. Nie jest to może specjalnie odkrywcze spostrzeżenie, ale istotne przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, problem dopasowania oferty do nowych mediów w różnym stopniu dotyczy poszczególnych instytucji kultury. Wymaga on często odmiennych podejść, a także dodatkowych nakładów finansowych i kreatywności od poszczególnych podmiotów. Można to zauważyć, porównując na przykład, w jaki sposób w minionym roku funkcjonowały białostockie instytucje o podobnym profilu – Białostockie

Teatr Lalek, Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgierki, Opera i Filharmonia Podlaska, czy pobliski Teatr Wierszalin. Pomimo podobnych problemów i wyzwań, proponowane rozwiązania wcale nie były takie same. Po drugie należy podkreślić, że oferta, która najlepiej pasuje do przestrzeni Internetu, niekoniecznie pokrywa się z potrzebami uczestników kultury.

Mówiąc o potrzebach uczestników dochodzimy zresztą do bardzo istotnej kwestii. W ostatnich latach, a nawet dekadach, można było bowiem obserwować w społeczeństwie polskim procesy wyraźnych zmian w praktykach kulturowych. W okresie pandemii, niektóre z nich znacznie przyspieszyły – mowa tu chociażby o wspomnianym wyżej przenoszeniu uczestnictwa w kulturze do sieci – inne natomiast pozostają w ciekawych i skomplikowanych relacjach z pandemiczną rzeczywistością.

Przynajmniej od kilkunastu lat w Białymstoku, podobnie jak w innych miastach Polski, mogliśmy obserwować proces stopniowego, coraz szerszego wychodzenia życia kulturalnego w przestrzeń publiczną. Słabło przekonanie, że kultura – a w każdym razie ta poważna, „wysoka” kultura – dzieje się przede wszystkim we wnętrzach instytucji. Wystawy plenerowe, koncerty i pokazy filmów na świeżym powietrzu, spektakle na bojarńskiej łące, potańcówki w parku lub nad rzeką, podobnie jak szereg innych wydarzeń, ułatwiały białostoczanom kontakt z życiem kulturalnym i otwieranie się na nowe doświadczenia. Oczywiście zmiany te nie zawsze zachodziły w sposób płynny i bezproblemowy. Pamiętam, że kiedy w 2014 roku, wraz z zespołem Fundacji SocLab prowadziliśmy na zlecenie Urzędu Miasta badanie oferty kulturalnej w Białymstoku, takie innowacyjne formy wciąż były pewnego rodzaju nieoczywistą nowością. Jeden z badanych mieszkańców zwrócił wówczas uwagę, że choć zainteresowała go propozycja spektaklu w plenerze, czuł wobec niej pewien dyskomfort, nie wiedząc jak odpowiednio ubrać się „do teatru na łąkę”. Trudno powiedzieć ile osób zadało sobie w 2020 roku pytanie, jak ubrać się do teatru w Internecie. Pewnie niewiele, biorąc pod uwagę, że chłonąc treści w domowym zaciszu uwolniliśmy się od sądzących oczu innych ludzi na widowni. Niemniej, w tym czasie bardzo istotne stało się pytanie – które wielu z nas zadawało sobie mniej lub bardziej wprost – jak najlepiej, i jak najpełniej przeżywać ofertę kulturalną, która wyszła z przestrzeni instytucji kultury i dostała się do naszych salonów, zapośredniczona ekranami

smartfonów, komputerów i telewizorów?

Wracając do wątku wychodzenia kultury w przestrzeń publiczną, należy dodać, że równolegle rozwijała się w Polsce moda na murale, w lokalnej odsłonie napędzana wielkim sukcesem „dziewczynki z konewką”, co sprawiło, że wielu z nas inaczej zaczęło myśleć o estetyce przestrzeni publicznej i przenikaniu się sztuki z życiem codziennym. Tego rodzaju zmiany, podobnie jak przełamanie hegemonii instytucji kultury i ich wnętrz, jako głównych organizatorów oferty kulturalnej w mieście, sprzyjały zamazywaniu klasycznego, choć coraz bardziej anachronicznego podziału na kulturę wysoką i niską (czy też popularną, masową). Wydaje się, że obecnie istotniejsze jest ocenianie oferty kulturalnej na przykład ze względu na to, czy zachęca uczestników do aktywnego udziału, refleksyjności, pogłębiania własnej wrażliwości i relacji międzyludzkich. Specyfika kultury czasu pandemii, zawieszająca dawne hierarchie, zdaje się dodatkowo sprzyjać takiemu sposobowi myślenia.

Ważnym pytaniem w kontekście najbliższej przyszłości jest to, w jaki sposób lokalne samorządy będą wspierać życie kulturalne. Wiadomo, że kryzys związany z pandemią może poważnie odbić się na jakości usług publicznych. Budżety samorządowe będą spinać się trudniej niż dotychczas, a kultura należy do tych sfer życia społecznego, na których – jak się często wydaje – najłatwiej jest oszczędzać. Oczywiście, w obecnej sytuacji trudno byłoby negować priorytetowość ochrony zdrowia lub systemu edukacji, zdecydowanie wymagających większych nakładów finansowych ze strony samorządu. Zupełne zaniedbanie sfery kultury mogłoby jednak w dłuższej perspektywie przynieść opłakane skutki. Szczególnie jeśli chodzi o jakość więzi społecznych, poczucie wspólnoty lokalnej, wzajemne zaufanie, czy gotowość do pracy na rzecz społeczności. Niepokojący wydaje się fakt, iż – jak jednoznacznie pokazywały dane sprzed pandemii – Białystok od lat znajdował się w grupie dużych miast, które przeznaczają na wydatki związane z kulturą najmniejsze odsetki swoich budżetów. Innymi słowy, ten pas był już dość mocno zaciśnięty przed 2020 rokiem i trudno powiedzieć, jak bardzo można go jeszcze ścisnąć. Co może w związku z tym robić samorząd? W jaki sposób wspierać życie kulturalne Białegostoku, pamiętając że – choć środki są ograniczone – to łatwy dostęp do uczestnictwa w kulturze może być ważnym czynnikiem redukującym powszechne poczucie niepewności, lęku i zniechęcenia, jakie wywołała w nas przedłużająca się pandemia?

Odpowiedź częściowo kryje się chociażby w przyjętym jakiś czas temu – choć wydaje się, że w całkiem innej epoce – Programie Polityki Kulturalnej Białegostoku. Wśród, sformułowanych mniej lub bardziej wprost, wartości organizujących tamten dokument można znaleźć między innymi dążenia do promocji lokalnie tworzonych wydarzeń, zacieśniania współpracy wewnątrz środowiska kultury, czy wspierania działań w najmniejszej skali, na przykład na osiedlach. Zastanawiając się nad tymi zapisami pod kątem wyzwań kultury „pandemicznej” i „postpandemicznej”, sformułować można trzy propozycje kierunków działań na przyszłość.

Po pierwsze, wspierać aktywności oddolne. Podpatrzony przeze mnie w lokalnych mediach obraz kapeli Batareja, muzykującej w okresie świątecznym pod oknami i balkonami białostoczan, wydaje się symbolem siły kultury i – zapożyczając słówko od noblistki – czułości, która kryje się w takich oddolnych, małych wydarzeniach. Miasto powinno wspierać inicjatywy kameralne, osiedlowe, wynikające z rzeczywistych potrzeb mieszkańców i organizowane przez pasjonatów.

Po drugie, wspierać działania poszerzające pole kultury. Nikt nie ma wątpliwości, że wyjście do teatru, opery, muzeum, to uczestnictwo w kulturze. Nie powinno być wątpliwości co do tego, że codzienne praktyki każdego z nas również mogą być podobnie traktowane. Ogrodnictwo miejskie, warsztaty kiszenia warzyw, wieczór gier planszowych w osiedlowym klubie, kawiarenka językowa, miejski spacer z przewodnikiem, nieoficjalne zawody gry w bule, to tylko kilka przykładów licznych działań, które łączą ludzi we wspólnym i aktywnym doświadczaniu kultury. Zauważanie i docenianie takich praktyk, na przykład poprzez system mikrograntów, działania promocyjne, wspieranie lokalnych animatorów i pasjonatów – szczególnie kiedy instytucje nie działają jak dawniej – może być olbrzymim wsparciem dla rzeczywistej, żywej kultury w mieście.

Po trzecie – i najważniejsze! – wspierać edukację kulturową. Przynajmniej od czasu pracy nad Programem Polityki Kulturalnej Białegostoku pojawił się pomysł opracowania miejskiego programu edukacji kulturowej. Wydaje się, że jest on obecnie potrzebny jak nigdy. Przy czym, edukacja kulturowa rozumiana jest w tym przypadku nie jako wpajanie młodym ludziom kanonu kultury narodowej. Chodzi raczej o wykształcenie, zarówno wśród dzieci jak i dorosłych, pewnych kluczowych kompetencji – ciekawości świata, krytycznego myślenia, otwartości na nowe doświadczenia.

Taki model edukacji kulturowej ma oczywiście wiele ponadczasowych zalet, na przykład pozytywnie wpływa na poziom kultury obywatelskiej i politycznej, ułatwia dialog między ludźmi, wzmacnia wzajemny szacunek i zaufanie. W tym konkretnym przypadku jest jednak również rodzajem skrzynki z narzędziami na ciężkie czasy. Taki model edukacji kulturowej zakłada bowiem, że – szczególnie kiedy kultura instytucjonalna niedomaga – będziemy umieli i chcieli brać sprawy w swoje ręce. Oddolnie organizować się, działać, wspólnie wypełniać puste miejsca w polu kultury.

Tak zwani preppersi szykują się na katastrofy naturalne lub wojny gromadząc zapasy, budując przydomowe schrony, czy ucząc się przetrwania w głuszy. Metaforycznie, edukacja kulturowa może pełnić podobne funkcje, uczyć tego, jak radzić sobie z niedoborami kultury w czasach kryzysu. W pewnym stopniu wpisuje się to m. in. w zdobywającą popularność na świecie ideę miast odpornych (resilient cities), czyli zorganizowanych w sposób, który pozwala skutecznie opierać się gwałtownym kryzysom zewnętrznym. Co prawda idea ta rozwijana jest przede wszystkim jako odpowiedź na zagrożenia klimatyczne i kryzysy związane z kurczącymi się zasobami, ale ten tryb myślenia jest polityce kulturalnej także bardzo potrzebny. Właśnie dlatego wydaje się, że poważne potraktowanie edukacji kulturowej powinno być obowiązkiem samorządu w najbliższej przyszłości.

Wspomniana na początku tekstu „nowa normalność” to pojęcie, które obecnie kojarzymy z uciążliwymi ograniczeniami, koniecznością noszenia maseczek, czy utrzymywaniem dystansu. Wiele wskazuje na to, że w dłuższej perspektywie „nowa normalność” oznaczać będzie, że różnego rodzaju kryzysy – klimatyczne, epidemiologiczne, ekonomiczne – będą powracać, a my powinniśmy być na to gotowi. Być może teraz właśnie jest dobry moment na to, żeby właściwie przemyśleć, jak wyobrażamy sobie nowe, normalne życie kulturalne w takim mieście jak Białystok. Mamy atuty – kreatywnych pracowników sektora kultury, dość silne (przynajmniej na tle porównywalnych miast) środowisko organizacji pozarządowych, aktywnych przedstawicieli różnych grup wiekowych, etnicznych, religijnych. Dobrze byłoby, gdybyśmy wspólnie, razem z władzami miasta, spróbowali skutecznie wykorzystać ten potencjał.



To jest ta ENERGIA!!!

Jeśli podąża się za sobą i podejmuje odważne decyzje, pojawiają się właściwi ludzie, szczęśliwe zbiegi okoliczności i nowe możliwości, czego przykładem jest życiowa i artystyczna droga Hanki Grodzkiej. Wiele w niej pasji i twórczej energii, podobnie jak w tatuażach, które robi w Tattoo Lab.

■
Diana
Nachito



Mówi się, że chcąc poznać naturalne talenty i predyspozycje człowieka, szczególnie warto przyglądać się dzieciom do 5 roku życia. *Tato powiedział mi, że w tym wieku najchętniej rysowałam, a siostra, że lubiłam bawić się jej kosmetykami* – opowiada Hanka Grodzka, z wykształcenia informatyk z doświadczeniem w handlu, grafice, wizażu, prowadzeniu studia fotograficznego, modelingu, logistyce wydarzeń modowych i kreacji tatuaży. Razem z Mileną Burzyńską, w centrum Białegostoku, prowadzą studio tatuażu Tattoo Lab. Wnętrze zaaranżowane w graficzne wzory jest wyrazem artystycznej wyobraźni Hanki, a wykonywane w nim tatuaże – kreacją, do której zawsze prowadzi spotkanie i rozmowa z drugim człowiekiem. *Myślę, że w tym, co teraz robię wykorzystuję jak najwięcej wrodzonych możliwości i nabytych doświadczeń. Mam pewność siebie, którą mój klient odbiera jako profesjonalizm. Ofiarowuje mi swoje zaufanie i to działa* – opowiada z radością.

Duży format

Większość dobrych rzeczy, która wyda-

rzyła się w moim życiu, było jak wrzucenie na głęboką wodę – mówi Hanka. Tak było choćby w przypadku udziału w streetartowej akcji PlacArtowo na białostockim placu NZS. Do grona osób, które przygotowywały wieloformatowe prace pod okiem publiczności zaprosił ją Praktis, znany raper i artysta streetartowy. *Bardzo lubię pracę na dużym formacie. To dla mnie najciekawsza forma malarstwa. Dzięki Praktisowi mogłam spróbować swoich sił i się w tym sprawdzić* – opowiada o akcji, którą Inicjatywa Plac NZS zorganizowała w lipcu 2019 roku, przypominając historię miejsca, a jednocześnie zwracając uwagę na jego potencjał. *Jak poznałam grono osób, które brały udział w akcji, czułam się onieśmielona. Postanowiłam jednak podejść do tego na luzie i po prostu dobrze się bawić* – wspomina. Na temat wieloformatowej, kolorowej pracy wybrała kota, a właściwie karakalę. *Sama jestem jak kot, chodzę swoimi ścieżkami. Zawsze byłam indywidualistką* – mówi Hanka. Jest dumna z pracy, którą wykonała na Placu NZS, a ta otworzyła jej drogę do projektów komercyjnych. Otrzymała zlecenie od właścicielki Studio Fryzur

Pod Aniołami. *Nie lubię się powielać, dlatego poszłam o krok dalej i wykonałam na ścianie duże skrzydła anielskie w technice tynku strukturalnego, pomalowanego srebrnym sprayem. Efekt wydobyło współgrające z nimi oświetlenie. Dodało im magii* – opowiada z pasją.

Na głęboką wodę

Grafika i załamania optyczne to dekoracyjny motyw przewodni ścian w Tattoo Lab. Droga Hanki do własnego studia tatuażu nie była oczywista, ale pełna odważnych kroków i decyzji, aby iść za swoim wewnętrznym głosem. *Lubię żyć w zgodzie ze sobą* – mówi artystka.

Jako bardzo młoda kobieta nie miała na tyle jasno sprecyzowanych zainteresowań, żeby wyraźnie czuć, że chciałaby zostać biologiem, lekarzem, prawnikiem czy architektem. Wiedziała, że chce zostać młodą mamą i to marzenie udało jej się spełnić. Chwilę później, z inspiracji swojego taty Leona Świrepo – wykładowcy na SGH, skończyła Wyższą Szkołę Matematyki i Informatyki Użytkowej. Pracując jako przedstawiciel handlowy w firmie kurierskiej, zrobiła magisterium z zarządzania na Uniwersytecie w Białymstoku. Chętnie wraca do wspomnień z pracy w charakterze handlowca, widząc w tym dobrą szkołę komunikacji, budowania relacji z ludźmi, ale też szkołę podejmowania decyzji i dużej samodzielności. Ten czas wspomina jako intensywne, często niełatwe, ale konieczne życiowe lekcje z poznawania, przebudowywania i wzmacniania siebie. *Często to kwestia podjęcia decyzji. Robię coś i już* – wyjaśnia. Zapytana o to, skąd czerpie odwagę, odpowiada, że w jej przypadku zawsze bardziej była to kwestia samodzielności i odpowiedzialności za siebie.

W każdym jej kolejnym kroku zawodowym widać też serce i umiejętność pójścia za nim. Lubi motoryzację. Sprzedawała auta. Razem z kolegą Maćkiem Giedroń-Juraha założyła agencję fotograficzną Fat Cat. Zajęła się wizażem, a w międzyczasie zajmowała się modelingiem: brała udział w pokazach mody i sesjach zdjęciowych, przygotowywała też do nich modelki. Przez wiele lat pracowała przy organizacji „Fashionable East”. Sama nauczyła się obróbki zdjęć i zajęła grafiką. Przez kilka lat robiła banery i ulotki aż w 2015 roku zrobiła pierwszy tatuaż. *To było przełomowe doświadczenie* – zaznacza.

Dobra atmosfera

Jedną z ważnych osób, które jako tatuażystka spotkała na swojej drodze jest Albert,

właściciel studio Racer Tattoo na ul. Św. Rocha w Białymstoku. *To on użyczył mi swojej skóry jako pierwszy i uczył, jakich narzędzi trzeba użyć* – wspomina. Zaufali jej też przyjaciele z Bielska-Białej, gdzie samodzielnie zaczęła robić tatuaże, w dużym skupieniu ucząc się reakcji tuszu i skóry. Później swoje umiejętności szkoliła współpracując z Tomkiem Gilewiczem z białostockiego Najs Tu Ink Ju. Kilka lat temu razem założyła własne studio Tattoo Lab. Wkrótce dołączyła do niej Milena i stworzyły kobiecy team *Klienci mówią: „Ale tu u was fajnie, aż nie chce się wychodzić”. Traktujemy ludzi tak, jak same chcielibyśmy być traktowane. Dodatkowo, staramy się też utrzymywać dobrą atmosferę między sobą. Dużo z Mileną rozmawiamy* – mówi Hanka.

Czy masz poczucie, że to jest też praca terapeutyczna? – pytam. *Czasem żartuję, że robiąc tatuaż przeprowadzam sesję terapeutyczną* – odpowiada. – *Ludzie przychodzą w bardzo różnych sytuacjach życiowych. Znamymi śmieją się, że jestem starą duszą i czasem patrząc z boku potrafię odpowiedzieć rozwiązanie jakiegoś problemu* – dodaje. Podkreśla też: *Jestem wdzięczna moim klientom, bo razem z nimi odkrywam swoją drogę. Są ludzie, którzy mi ufają. Mówią: po prostu rób swoje. Wtedy wychodzą najlepsze prace*. Podkreśla, że w pracy tatuażystki przydają się umiejętności komunikacyjne. *Potrafię czytać w myślach i czasami intuicyjnie dotrzeć do tego, czego klient chce. Często jest tak, że ludzie przychodzą z jednym pomysłem, a wychodzą z zupełnie inną koncepcją* – mówi Hanka. Ma indywidualne podejście. Często zadaje ludziom takie pytania, które skłaniają do refleksji nad tym, jaki tatuaż chcą nosić do końca życia.

Projekty najczęściej robię przed sesją. Nie lubię siedzieć w domu i czegoś wymyślać, bo po jakimś czasie przestaje mi się to podobać. Kiedy siada przede mną klient, rozmawiamy, patrzymy na siebie i na projekt, to jest ta energia – opowiada Hanka. – *Najlepiej wychodzi mi praca „na żywioł”, na głębokiej wodzie. Muszę być wrzucona w oko cyklonu i radzić sobie. To jest jak sterowanie chaosem* – dodaje.

Trzeba żyć dobrymi myślami

W tym momencie najbardziej inspiruje ją geometria. To jest nurt, w którym chciałaby się rozwijać. Hanka jest zdania, że monotonia jest zabójcza dla kreatywności. Równie chętnie wykonuje prace w stylu szkicowym – tzw. sketch style oraz tatuaże graficzne. Ciągłe poszukiwanie czegoś nowego. Jeśli robi tatuaż, lubi stworzyć perspektywę na dodanie nowego elementu, stworzenie historii. Jak sama podkreśla, wiele



mówi o niej historia jej ręki: złamany nadgarstek z pooperacyjną blizną, samodzielnie usuwane tatuaże oraz tatuaże, którymi zakryła blizny. **Mój rękaw odzwierciedla odwagę i zaufanie do siebie. Wierzę we własne siły i w to, że będzie dobrze** – zaznacza. Jak sama przyznaje, kiedyś miała w sobie sporo blokad. Była przekonana, że jeśli się coś robi, trzeba to od razu robić perfekcyjnie. Opuściła. Daje sobie czas. Jest zdania, że najważniejsze w realizacji zadania, to po prostu zacząć.

To pewne, że Hanka czymś jeszcze nas zaskoczy, bo lubi wymykać się schematom. Uwielbia snowboard. Od kilku lat jeździ motocyklem, ale i od tego schematu ucieka: **Kiedy słyszysz tatuażysta i motocykl, od razu myślisz: o wielkim facecie na dwóch kółkach, ale to nie ja**. Niedawno zauważyła, że przyjemność sprawia jej gotowanie i uprawa roślin. Oprócz tatuaży i grafiki interesuje się rozwojem osobistym, fotografią, muzyką, rękodziełem, malowaniem w technice pouringu. Przyznaje też,

że przez chwilę myślała o architekturze, ale bardziej interesuje ją dziś dekoracja wnętrz. W razie czego, niedawno zrobiła kurs programowania. **Niewykluczone, że jak wyjdę ze sztuki, to zostanę project managerem. To też jest praca, która wymaga dużej kreatywności. Być może będę kiedyś wykorzystywać swoje umiejętności w takich projektach. Nie wiem, czego się jeszcze podejmę** – opowiada. Zapytana o patenty na dobrą energię odpowiada, że sferą duchową, interesuje się od ponad dekady. W jej przypadku sprawdza się odpowiednie nastawienie i podejmowanie decyzji. **Życzę sobie jak najlepszego rezultatu dla jakiejś historii, zadania, czy spotkania. Jeśli poświęcam uwagę smutom i dramatom, to przyciągam ich więcej. Jeśli mam stresującą sytuację, staram się skupić na tym, co mam do zrobienia. Staram się żyć tu i teraz** – mówi Hanka. Zapytana o to, czego sobie życzy, odpowiada, że tego, aby zawsze towarzyszyła jej radość, żeby zawsze potrafiła się odnaleźć w danej sytuacji i wykonać swoje



DE GUSTIBUS NON EST DISPUTAN- DUM, CZYLI O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE!



To starożytne, kategoryczne i przewrotne powiedzenie, bynajmniej nie zabrania wypowiedzania się w jakże szerokim temacie jakim jest sztuka. Raczej każe milcząco akceptować cudze gusta, z którymi nam nie po drodze. Bo jeżeli ktoś ceni sobie „jelenia na rykowisku” to basta – jego święte prawo! Na nic nasze wzdrygnięcie się i oburzenie święte... Ale podyskutujmy, bo jesteśmy otwarci na piękno tworzone przez artystów.

Przez kilkaset lat sztuka była mało wymagająca, dosyć łatwa i przyjemna w odbiorze, osiągając stagnacyjną docelowość. Dopiero ostatnie 100 lat przyniosło niesamowity wprost rozwój kreatywności twórców, wzbudzając przy tym ogromne emocje widzów i ostre spory krytyków. Różnorodne postrzeganie świata wyrażane przez nich w wieloraki sposób – poprzez rzeźbę, obrazy bądź muzykę – przybiera zaskakujące i bulwersujące dla odbiorcy efekty. Zaczęło się zupełnie niewinnie, kiedy to malarz francuski Claude Monet o wschodzie słońca rozstawił sztalugi przy porcie w Hawrze, aby właśnie ów wschód słońca namalować. Musiał się spieszyć, bo tylko przez chwilę słońce wisi nisko nad horyzontem, a jemu chodziło właśnie o uchwycenie tego istotnego momentu. I oto z mglistej, różowo-błękitnej poświaty wyłania się pomarańczowe, okrągłe słońce, którego refleksy

odbijają się w portowej wodzie. Gdzieś tam, na horyzoncie, widać dymiące kominy fabryczne, dźwigi portowe i budzące się do życia miasto. Wiele rzeczy, zdublowanych przez odbicie w spokojnej o tak wczesnej porze tafli wody, sprawia, że obraz jest niezwykle plastyczny, wręcz nierealny. Płynące rzeką łodzie zdają się być tymi z królestwa samego Charona, które wożą pasażerów na drugi brzeg Wieczności. Nie minęła godzina, gdy obraz był gotowy, a sam malarz niezwykle zadowolony z efektów swojej pracy. Nigdy wcześniej nie włożył tyle emocji, aby uchwycić moment tak istotny do pokazania tylko tej jednej chwili. Bo rzeczywiście obraz robi wrażenie pozorną monochromatycznością, a jednocześnie z tej błękitnej delikatności bije siła budzącego się dnia uchwycona w niezwykle ekspresyjny sposób.

Widzowie oglądający ów wschód słońca byli oburzeni, nie szczędząc krytyki. To jakby ktoś napluł im w twarz! Do tej pory malowało się zupełnie inaczej, prawidłowo, bo przestrzegając reguł dosłowności wszechobecnego realizmu. A tu „niechlujne”, szybkie malowanie wołające o pomstę do nieba. Tak właśnie narodził się impresjonizm, gdzie emocje i kolor odgrywały podstawową rolę. Nic już nie mogło zatrzymać zmian, które uświadomiły artystom jak bardzo są wolni, gdy nic ich nie ogranicza...

Artur Chaciej

Malarz, artysta, kronikarz artystycznego życia Białegostoku.

Przypadkowo odkryta i wykopana z ziemi marmurowa rzeźba była olbrzymia. Cudem udało się wydobyć ją w całości, aby po wiekach spędzonych w mrokach mogła powtórnie ujrzeć światło dnia. Trzy marmurowe postacie



zmagaly się w walce o przeżycie, starając się uwolnić ze splotów oplatających ich węży. To tzw. Grupa Laokoona. Przedstawia kapłana Laokoona i jego synów zabijanych przez węże morskie. Karę taką zesał na nich Apollin za złamanie celibatu. Rzeźba robi niesamowite wrażenie swoją ekspresyjnością i dramatyzmem. Możemy sobie tylko wyobrazić jak wielkie wrażenie musiała wywrzeć na Michale Aniele – młodym, początkującym rzeźbiarzu Renesansu – który miał okazję oglądać to sta-

rożne greckie dzieło, i który później zadziwił cały świat swoim ogromnym talentem. Na tym właśnie polega siła sztuki, aby dzieło zostawiło po sobie niezapomniany inspirujący ślad...

Czy dziś, oglądając obrazy w muzeach czy na wernisażach odbiorca, czyli widz powinien mieć przygotowanie i jakiejkolwiek pojęcie o sztuce? Otóż, moim zdaniem, niekoniecznie. Liczy się wrażenie jakie wywrą na nim ekspozowane prace, bowiem sam jest panem własnych emocji i gustów, na które prawie nic już nie może wpłynąć. Ja byłem o tyle w lepszej sytuacji, gdy uczęszczając do supraskiego Liceum Sztuk Plastycznych, miałem przedmiot o nazwie wiedza o sztuce. Poznawaliśmy rozwój sztuki od zarania cywilizacji poprzez malowidła naskalne jak chociażby w grotach Altamiry i Lascaux, starożytną Mezopotamię, Egipt, Grecję i Rzym...

Posiadając nawet tak minimalną i powierzchowną wiedzę, nieodparcie nasuwa się wniosek, że potrzeba estetyki towarzyszy ludziom od początków cywilizacji. Niesamowity podziw wzbudza po dziś dzień architektura Babilonu, a monumentalizm budowli starożytnego Egiptu zaskakuje swoim ogromem i wiedzą ówczesnych architektów! Egipskie świątynie kipiały od intensywnych kolorów wywołując oczekiwane wrażenie na wiernych i przybyszach. Każdy stawiał sobie za cel, aby wraz ze śmiercią, jego trumna bądź sarkofag była choć skromnie ozdobiona a właściciele mastab za punkt honoru uważali piękne i odpowiednie pokrycie freskami ścian tejże. Kolor przemówił! Podobnie wyglądała hellenistyczna Grecja, w której wszystko było podporządkowane bogom Olimpu. Zachowane w muzeach greckie rzeźby, mające dziś barwę marmuru, z którego zostały wykonane, dawniej pokryte były kolorami odpowiadającymi całej świątynnej koncepcji, z tego też powodu było niezwykle barwne. Podobnie wyglądały domy greckich i rzymskich bogaczy. Właściciele zatrudniali wybitnych artystów tworzących nastrojowe mozaiki na podłogach i sceny rodzajowe na ścianach.

Naprawdę potrzeba estetyki i piękna to nie nasz wynalazek. Być może każdy ma swój ulubiony obraz, do którego jest przywiązany. Jedni wolą pejzaże, drudzy abstrakcje i martwe natury, a jeszcze inni cenią ponad wszystko sztukę nowoczesną. Bo sztuka nowoczesna już na dobre zdominowała rynek i coraz częściej pojawia się we współczesnych domach. Konsekwencje namalowania „wschodu słońca” przez Moneta dziś przekraczają najśmielsze wyobrażenia o sztuce. Poszukiwania, które towarzyszą współczesnym artystom mają da-

leko idące skutki. Szokowanie potencjalnego odbiorcy jest na porządku dziennym i tylko od kreatywności artysty zależy jak daleko posunie się w realizacji swoich pomysłów!

Dzieła mistrzów z początku XX wieku, które stały się nowym przekazem w malarstwie – takie jak kubizm, fowizm, ekspresjonizm, itp. – dziś przeszły do lamusa historii sztuki. Są nikłym ułamkiem na ciągłej drodze poszukiwań twórców. Tak ważna do tej pory estetyka przestała mieć jakiekolwiek znaczenie. Priorytetem są osobiste doznania artystów, a ich zmaganie się z bólem egzystencjalnym może przybierać nieoczekiwane formy. Obsesyjne obrazy Francisca Bacona czy krwiste rzeźby Berlinda De Bruyckere’a to przykłady sztuki wyzwolonej, pełnej osobistych relacji, zmagania się ze światem i sobą samym! Tradycyjna estetyka w tym wypadku zostaje mocno zakłócona, ale wątpliwości natury egzystencjalnej pozostają.

Ale powoli i ten rodzaj sztuki ulega oparzeniu. Prym wiodą działania performance, instalacje, video. Wpływ jaki te działania wywierają na odbiorcę może być różnoraki i czasem zdarza się zakrzyknąć, że „król jest nagi”. Wrażliwość tworzącego artysty jest w skrajnej kontrze do wrażliwości widza. I o to chodzi!

Tworząca od bardzo dawna, dziś ponad 90-letnia Japonka – pani Yayoi Kusama – należy do najdrożej sprzedających się artystów. To, że we wczesnym dzieciństwie dostrzegła czarne kropki na ogrodowej dyni i czerwone kwiaty z obrusa na stole, zaowocowało obsesyjnym i konsekwentnym kropkowaniem każdej napotkanej powierzchni. Do tego dochodzą jeszcze obsesje natury seksualnej, z którymi też musi się zmagać, dając temu wszystkiemu upust w swojej niespożytej kreatywności. Tak, to obsesyjne emocje stworzyły wielką artystkę. Wśród olbrzymiej ilości prezentowanych dokonań artystycznych często nawet wytrawny krytyk ma wątpliwości czy to, co ogląda jest jeszcze sztuką.

„The Krasnals” kiedyś opublikował rysunek, gdzie jeden z widzów wskazując palcem kupę pyta pełen pewności: „SHIT!?”. „No... ART!” – odpowiada kurator wystawy, a może nawet i sam artysta. Ale od kiedy pisuar wykorzystany przez Duchampa, zwany przekornie „fontanną” zagościł na stałe w kanonie sztuki, wątpliwości powinny zniknąć! Zderzenia pospolitego i tradycyjnego odbiorcy sztuki z takim i podobnym eksponatem musi wywołać konsternację i uczucia mieszane. Największy szok powoli mija i dziś młody uczestnik galeryjnych wernisaży wręcz oczekuje od artysty, że ten zaskoczy go jakimś arcyciekawym

pomysłem, nowym, oryginalnym spojrzeniem na rzeczywistość. Dziś sztuka ma bulwersować i prowokować, inaczej przemija bez śladu.

Pamiętam swoje pierwsze zderzenie ze sztuką zupełnie inną niż tradycyjna. Mając jeszcze lat kilkanaście i chodząc do szkoły podstawowej, ujrzałem w jakimś piśmie czarno-białe zdjęcia obrazów malarzy-kubistów... Wrażenie było niesamowite, bo oto oglądałem coś, co zaprzeczało zdrowemu rozsądkowi... Mając w domu rodzinnym kilka albumów z reprodukcjami wybitnych polskich artystów, jak Rodakowski, Matejko, Chełmoński, za wzór stawiałem sobie Jana Matejkę. Usilnie starałem się kopiować króla Jagiełłę z pocztu królów polskich, który nijak nie przypominał oryginału. A tu ktoś całkowicie ignoruje wypracowane metody i kilkoma „przypadkowymi” krechami buduje obraz! Wtedy to nieśmiało i nieświadomie w mojej dziecięcej głowie pojawiła się myśl, że można przecież dowolnie interpretować rzeczywistość. Choć nie do końca o tym przekonany, na następną lekcję plastyki, przyniosłem namalowany na kartce w „stylu kubistycznym” obrazek człowieka czytającego gazetę... Ach! Co to się działo! Klasowi koledzy i koleżanki, pokładali się ze śmiechu po obejrzeniu mojej pracy. Na szczęście nauczyciel od plastyki był na tyle wyrozumiały (byłem jego najlepszym uczniem), że zrozumiał moje zauroczenie nową sztuką i nowym stylem.

Później, mając lat 20, po raz kolejny, tym razem zupełnie świadomie, starałem się zrozumieć kubizm i odkryć go wyłącznie dla siebie i na swój użytek. Najpierw narysowałem tradycyjny akt kobiecy, łapiąc pobieżnie proporcje i starając uzyskać odpowiednie nastawienie psychiczne, które pozwalałoby przełamać tradycyjną kreskę. Drugi rysunek siedzącej modelki, niewiele różnił się od pierwszego. Jednak z każdą kolejną pracą kreski stawały się coraz bardziej syntetyczne i uproszczone, zredukowane do płaszczyzny, na której z trudem, ale dawało się dostrzec, że chodzi o akt kobiecy! Ekstaza, jakiej doświadczałem przy tworzeniu ponad 30 niezwykle szybkich monotypii bez wątpienia była tą, którą przeżywali prawdziwi kubiści! I kto wie czy kontynuując cykl nie doszedłbym do „Czarnego Kwadratu” Malewicza... A to, że zupełnie przez przypadek malując martwą naturę (!) doszedłem do „czarnego kwadratu”, to już zupełnie inna historia!

Taaaaaak! Bez wątpienia Sztuka to najcudowniejsza przygoda, która mogła zdarzyć się Człowiekowi!



MALESZE

MIEJSCE PROMOCJI ARTYSTÓW I LUDZI KULTURY

■ Anna Kopeć-Tyszkiewicz

Malownicza wieś w powiecie bielskim zauroczyła dwie artystki, które na co dzień mieszkają i działają w stolicy. Malesze dały nazwę i siedzibę ciekawej fundacji związanej ze sztuką.

Gdy tylko zobaczyła budynek po dawnej szkole i znajdującą się po przeciwnej stronie cerkiew, wiedziała, że jest to miejsce z artystycznym potencjałem. Iwona Ostrowska kupiła nieruchomość w Maleszach z myślą o wydarzeniach i spotkaniach różnych środowisk. Do współpracy zaprosiła Annę Bartnicką, z którą w Warszawie tworzy wiele wydarzeń artystycznych. Swoje pomysły postanowiły przenieść również na Podlasie. Tak założyły Fundację Akademia Malesze - miejsce promocji artystów i ludzi kultury.

Gościnność Podlasia jest urzekająca. Batuszka Marek Jakimiuk kibicuje naszym planom. Pani Tamara, która wychowała trójkę dzieci w szkole w Maleszach, do tej pory przychodzi i dogląda stare kąty. Niezwykły Bogdan Ponichtera, który remontuje budynek, niejednokrotnie ratował nas z opresji. I zawsze, gdy przyjeżdżamy czeka na nas dobry obiad od Kasi Ponichtery. Gdzie są jeszcze tacy ludzie? - zastanawia się zachwycona Iwona.

Kresy są fantastyczne, ludzie naturalni, wspierała gościnność, zdrowie natury. Pod-

lasie to miejsce, które daje przestrzeń do działania, a tutejsze środowisko artystyczne jest przyjazne, znajdujemy wspólne plany artystyczne. Z tym terenem wiążemy nadzieję na realizację naszych planów. Chcemy wzajemnie się inspirować, łączyć środowiska artystyczne, w których obecnie jesteśmy: warszawskie z artystami z Podlasia - podkreśla Anna.

Iwona Ostrowska jest malarką. Dyplom z malarstwa uzyskała na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu w pracowni profesora M. Wiśniewskiego. Jej twórczość rozpięta jest między malarstwem olejnym, grafiką i projektowaniem graficznym. Swoje obrazy prezentowała na 18 wystawach indywidualnych i ok. 80 wystawach zbiorowych. Prace wystawiała w kraju i za granicą. Uczestniczy w festiwalach sztuki we Włoszech, w Turcji, Brukseli, Tunezji, Niemczech, Grecji, na Łotwie oraz w międzynarodowych plenerach i sympozjach twórczych. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków, należy do Grupy Twórczej PositiveArt, współtworzy projekt artystyczny ProjectArt.



Akademia Malesze
Fundacja



Działa jako organizator i kurator wystaw oraz projektów ogólnopolskich promujących sztukę współczesną, tworzy autorskie projekty artystyczne.

Anna Bartnicka studiowała architekturę wnętrz w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Ukończyła studia podyplomowe na kierunku malarstwo na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz zarządzanie na Akademii L. Koźmińskiego w Warszawie. Ze wszystkich dziedzin malarstwo jest najbliższe jej sercu. Uprawia malarstwo akrylowe i olejne, najczęstszym tematem prac jest postać i portret. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków, grupy PositiveArt. Prace wystawia w kraju i za granicą. Wiedzę z zakresu zarządzania wykorzystuje pracując w rodzinnej firmie recyklingowej. Jej motto życiowe to: żyć twórczo - to daje radość i satysfakcję.



Anna w Akademii Malesze widzi możliwość połączenia tego, co najważniejsze: ciekawego miejsca z pozytywnym działaniem aktywnymi ludźmi. Dla Iwony to miejsce, gdzie warto rozłożyć skrzydła.

Akademia Malesze funkcjonuje od roku - jakże trudnego dla artystów, bo zdominowanego przez pandemię koronawirusa. Mimo wielu trudności w tym czasie artystkom udało się dokonać kilku ciekawych projektów. W Międzynarodowym Centrum Targowo-Kongresowym przygotowały wystawę w 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej. Na Krakowskim Przedmieściu przy „Barykadach” Bogusława Lustyka zorganizowały wspólne malowanie o tematyce powstańczej. Iwona i Anna były dwukrotnie ze swoimi pracami na targach jubilersko-złotniczych GoldExpo w Warszawie. Tym razem sztuka przyszła do biznesu. Promocja artystów wśród ludzi biznesu okazała się ciekawym i cennym doświadczeniem.

W ostatnich miesiącach planowały także festiwal z artystami i zespołami muzycznymi w Gminnym Centrum Bibliotecznym w gminie Wyszki, kolędowanie dwóch kultur z czytaniem poezji w Maleszach, ale przez epidemię koronawirusa, plany te odłożyły w czasie.

Aktualnie artystki związane z Maleszami prowadzą rozmowy o wystawie i współpracy z Muzeum w Bielsku Podlaskim i z Galerią Marchand z plenerem artystycznym i wydarzeniami towarzyszącymi. Proboszczowi, który remontuje właśnie cerkiew, zaproponowały pomoc w pisaniu ikon pod okiem specjalisty z Bielska Podlaskiego. Na ten cel wnioskuje o dotację w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Na terenie Malesz organizują także Koło Gospodyń Wiejskich. W planach Akademii Malesze są także spotkania z artystami w formie plenerów, wystaw, festiwali, wydarzeń artystycznych, a także spotkania literackie, filmowe, fotograficzne, teatralne, koncerty, konkursy, przeglądy, szkolenia i warsztaty z zakresu sztuki i kultury z arte terapią włącznie. Anna i Iwona twierdzą, że Podlasie fantastycznie potrafi się tym pomysłom poddać.

Mamy doświadczenie w prowadzeniu firm, chcemy przełożyć to doświadczenie na realizację nowych zadań. To może połączyć przyjemne z pożytecznym - mówi Ania. Chcemy się rozwijać i poznawać nowych ludzi. Lubimy pracę z ludźmi. Wspólne działanie daje duże możliwości rozwoju osobistego. Ludzie chcą razem działać, działać wspólnie. To więcej niż praca i dom. Niektórzy na takie inicjatywy bardzo czekają.



Najbliższe projekty mają omówione z wójtem gminy, planują pozyskiwać fundusze samorządowe proponując współpracę w zakresie rozwoju sztuki. W czasie wakacji chcą zorganizować warsztaty dla dzieci i kilka wydarzeń. Ważnym przedsięwzięciem będzie opracowanie i wydanie katalogu, który będzie prezentował sylwetki i twórczość artystów związanych z Podlasiem.

Mamy nadzieję że wesprą nas w tym lokalne firmy. Naszym marzeniem jest aby było to duże wydarzenie, któremu będą towarzyszyły ciekawe wystawy i wernisaże z muzyką - dodaje Iwona Ostrowska.

Ambicją artystek jest integracja środowisk pogranicza, które zawsze było tygłem kulturowym. Mają nadzieję na współpracę z artystami i ludźmi z Białorusi, Litwy, Ukrainy, wymianę wystaw, plenerów i wydarzeń.

Chcemy razem ze środowiskiem podlaskim łączyć środowiska z całej Polski, a w przyszłości zaprosić do współpracy ludzi sztuki poznanych na sympozjach z całego świata - planuje Iwona Ostrowska. *To duża wartość współpracować z artystami i ludźmi różnych krajów i kultur.*

Ania i Iwona mają kontakty także z białostockim środowiskiem artystycznym, współpracują również z Galerią Marchand. Radę artystyczną Fundacji Akademia Malesze tworzą także malarze Bogusław Lustyk, Krzysztof Koniczek i Joanna Czajkowska, literat i dziennikarz Grzegorz Pikora oraz marchand Janusz Żabiuk.

Działania Akademii Malesze skupione są wokół promocji i integracji artystów - zarówno profesjonalnych jak i amatorów, upowszechniania, wspierania i promowania sztuki, kultury, tradycji, niosących wartości z ważnym przekazem oraz wokół nowych zjawisk w kulturze i niekonwencjonalnych przedsięwzięć artystycznych. Warto przyglądać się tej inicjatywie.



Podlaski Dom Aukcyjny
- aukcje sztuki, promocja artystów podlaskich

<https://www.facebook.com/podlaskidomaukcyjny>

e-mail: pda@vp.pl

www.domaukcyjny.eu



Kazimierz JURGIELANIEC

WSPOMNIENIE

Na zdjęciu od lewej: Krzysztof Koniczek, Kazimierz Jurgielaniec, Tomasz Świerubowicz, Walenty Wróblewski, Antoni Koniczek i Kazimierz Gomułka.

Plener w Bakalarzewie.

Kazia poznałem w 1977 roku. Pracowałem wówczas w pracowni plastycznej Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Białymstoku przy ul. Hetmańskiej. Dyrekcja OPRF mieściła się nad dawnym Kinem Pokój przy ul. Lipowej. W pracowni zatrudnieni byli absolwenci liceów plastycznych w Nałęczowie i Supraślu. Jedną z pracownic była Grażyna Jurgielaniec, ówczesna żona Kazika. Oprócz niej pracowali tam bardzo zdolni ludzie: Waldek, Basia, Ala, Mietek i inni. Wykonywaliśmy reklamy filmowe do czterech kin, które wówczas funkcjonowały w Białymstoku tj. do Kina Pokój, Ton, Syrena i Studio.

Pierwsze zetknięcie z Kaziem było dość ostre – przez niego wylądowałem na komisariacie milicji obywatelskiej. Ale potem było już tylko dobrze. Zaprzyjaźniliśmy się i widywaliśmy prawie codziennie. Kazik pracował w pracowni plastycznej Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego. Wykonywali tam reklamy sklepów, witryn sklepowych, szyldów itp.

Czasy były takie, że właściwie wszystkiego brakowało. Materiały plastyczne były

drogie i trudno dostępne. Do stworzenia reklam filmowych dużych rozmiarów potrzebne były odpowiednie farby i pigmenty. WPHW takowe pigmenty posiadało. Poprzez znajomość z Kazikiem mogliśmy liczyć na „użyczenie” na potrzeby naszych reklam pigmentów w różnych kolorach. Rewanżowaliśmy się biletami do kina, które otrzymywaliśmy za darmo, ale również w inny sposób...

Faktem było, że byliśmy sobie potrzebni i bardzo lubiliśmy ze sobą przebywać. W pracowni OPRF atmosfera była dosłownie domowa (gdzie te czasy!) Po pracy spotykaliśmy się w różnych miejscach. Najczęściej w domach lub Arsenale, który był przygotowany do przyjmowania artystów i ich przyjaciół. W roku 1981 wyjechałem na studia dzienne do Poznania. Przestałem więc pracować w OPRF, co nie oznaczało, że zerwałem kontakty z załogą pracowni plastycznej. Wprost przeciwnie. W pewnym momencie poznałem tam nawet swoją obecną żonę Małgorzatę.

Kazik przez ten cały czas był obecny w moim życiu. Był na obronie mojego dyplomu. Jeździliśmy wspólnie na plenery, robiliśmy

wspólne wystawy, wykonywaliśmy wspólne prace, które powszechnie nazywało się chałturami. Nie sposób krótko opisać wszystkich wspólnych eskapad i przygód, każdy dzień przynosił nowe doznania i emocje.

Kaziu brał chałtury tak jak szło, bo to przynosiło wymierne wartości pieniężne. Zaprosił mnie do pomocy przy jednej z nich. Znając termin i sytuację materialną Kazia, nie odmówiłem, zgodziłem się mu pomóc. Była to dekoracja ówczesnego Komitetu Partii (budynek obecnego Uniwersytetu w Białymstoku) na święto 22 lipca. Była to instalacja o dużych gabarytach. Kaziu rozrysował elementy dekoracji. Część z plansz była zagruntowana, a część trzeba było jeszcze zagruntować i przygotować do malowania. Było tego bardzo dużo, a czasu absolutnie mało, bo praca miała zawisnąć następnego dnia na budynku Partii. Robota miała odbywać się w starych loftach po fabrykach włókienniczych przy ulicy nomen omen Włókienniczej.

Idąc do tej pracy spotkałem na swojej drodze niebanalną postać – aktora Józka Sajdaka, który to grywał z samym Cybulskim (widziałem go ostatnio w epizodzie w filmie „Giuseppe w Warszawie”). Józek to mistrz drugiego planu, a zarazem bardzo wrażliwy artysta i obserwator świata i sztuki, na temat której miał sporo do powiedzenia. Często nawet cytował fragmenty sztuk scenicznych odnoszących się do dzieł plastycznych. Ode mnie otrzymał kiedyś w prezencie plakat z Charlinem Chaplinem, którego szanował i uwielbiał.

Do pracy z Kaziem zakupiliśmy odpowiednią ilość alkoholu i udaliśmy się do loftu, w którym zgromadzone były plansze. Kaziu czekał na mnie z niecierpliwością. Zobaczywszy mnie w towarzystwie Józka, ucieszył się niezmiernie, tym bardziej, że Józek zadeklarował swoją pomoc w realizacji. Miał do zagruntowania na biało kilka plansz. Rozpoczęliśmy pracę, od czasu do czasu wznosząc toasty. Józek tak zagalopował się w swojej pracy, że zamalował plansze, na których było rozrysowane hasło „22 LIPCA”. Dziwne, że umknęło to naszej uwadze. Sytuacja stała się dramatyczna. Misternie rozrysowane literactwo trafił szlag.

Trzeba było improwizować... Kolejne toasty i zaczęliśmy malować „od ręki”, bo czasu było naprawdę niewiele. Nad ranem plansze miały zostać zabrane. Wszystko to wyszło „jak wyszło”. Plansze zabrali rano, według umowy, ale ich nie zainstalowano ze względów – nazwijmy to – „estetycznych”. Namalowane odręcznie hasło „22 LIPCA” nie było zbyt za-

chęcające do obchodzenia go z radością i entuzjazmem, który to z reguły towarzyszył tego typu uroczystościom. Kaziu miał w związku z tym sporo kłopotów, ale jakoś wszystko rozeszło się po kościach. Oczywiście pieniędzy z tego nie było, zostały tylko radosne wspomnienia z młodości.

Pomimo panującej wówczas komuny, nasze życie było dość wesołe i pełne wrażeń. Cieszyliśmy się każdą sprzedażą obrazu, każdą zapłaconą chałturą, chociaż forszę nie bardzo było na co przeznaczyć. Dom i ogród Artura Chacieja stał zawsze otworem. Tam spotykaliśmy się bardzo często kojąc w szkłe uniesienia i problemy. Bardzo nas to łączyło, wszystkim pozwalało przetrwać i nie załamywać się.

Kazio Jurgielaniec malował bardzo nowatorskie obrazy. Były to ciekawie przetworzone pejzaże traktowane oszczędnie, z dużą wrażliwością na kolor, kompozycję i geometrię. Przełomem w twórczości Kazika był plener w Białowieży, na którym spotkał Stanisława Mazusia. Staszek wywarł ogromny wpływ na dalsze malowanie Jurgielanica. Pejzaż był nadal tematem numer jeden, ale był to już inny pejzaż. Bardziej realistyczny, mniej poszukujący własnej estetyki, która wyrażana była w pierwszych próbach malarskich. Pomimo tej fascynacji śląskim malarzem, Kazik po jakimś czasie wypracował swój własny styl nawiązujący do impresjonizmu i puentylizmu. Zaczął być rozpoznawalny i tak już było przez kolejne lata. Nasze relacje były zawsze dobre, ale już trochę mniej intensywne. Zaczęliśmy obracać się już w trochę innych środowiskach, co nie przeszkodziło nam we wspólnych rozmowach, spotkaniach, wypadach.

Kaziu uczestniczył i był współorganizatorem plenerów w Narewce. Malował dużo pejzaży Narewki, Lewkowa i okolic Puszczy Białowieskiej. Ostatnią podróż artystyczną Kazika był wyjazd do Francji. Wyprawa była owocna na tyle, że światło w obrazach stało się dominantą. Skrzące się domki i przyroda stały się nowym, szkoda, że jednym z ostatnich, doświadczeń artysty.

Śmierć Kazia w 2013 roku była dla nas wielkim bólem i ciosem. Kazik należał do ludzi, których „wszyscy lubią”. Pogrzeżył nas w żałobie na długi czas. Jest jednak z nami przy okazji spotkań i wspomnień. Tylu ludzi z naszego otoczenia odeszło... Kazik był jednak szczególny. Żegnaj przyjacielu.

Krzysztof Koniczek
Białystok 2021 r.



Joanna Czajkowska
Korowód moich marzeń



10 czerwca 2021r./czwartek

godz. 18:00

 **Niezależna Galeria Sztuki Marchand**

Patron medialny  **konik
kreatywny**